

PAMIĘTNIKI
LEKARZA POLSKIEGO.



PAMIĘTNIKI
LEKARZA POLSKIEGO

PRZEZ

Dr^a T. Tripplin.

SERYJA DRUGA.

Tom II.

Wojciecha Łojasiewicza
WARSZAWA.

Nakład i druk S. Orgelbranda Księgarza i Typografa.

1857.

5113

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 27 Czerwca (9 Lipca) 1856 r.

p. o. Starszego Cenzora, Radca Honorowy,

A. Broniewski.

Ar. 106/53/22

MA

Dowogunllowrowie

ROZDZIAŁ I.

Kobięta zbląkana.

(Rzecz opowiadana autorowi w czasie podróży z Londynu do Lizbony przez lekarza angielskiego.)

Pewnego dnia w miesiącu Listopadzie 1847 r. wieczorem, kiedy otoczony rodziną spokojnie siedziałem przy kominku, i odpoczywałem po dziennym trudzie; wszedł służący i oznajmił mi, że jakaś przybyła osoba życzy sobie widzieć się ze mną. Wszedłszy do gabinetu, zastałem tam starą, brzydką, niską kobietę.

— Ta dama, której tu napisany adres, pragnie się widzieć z panem, — rzekła oddając mi kawałek pomiętego papieru, na którym przeczytałem:

*Pani Alfons Nr. 11 Friedrichstrasse, na trzeci-
ciem piętrze.*

Te wyrazy pięknym napisane charakterem,
skreślone były ręką drżąca.

— Cóż jest téj pani?—spytałem staruszki.

— Co jój jest?—odpowiedziała mi, — zdaje
się że jest bardzo bliską śmierci.

— Czy pani myślisz — odrzekłem, słysząc
jak dészcz lat strumieniem, — czy pani myślisz,
że koniecznie potrzeba bym tam był jeszcze dzi-
siał w wieczór?

— Tak, bo jest w bardzo niebezpiecznym
stanie.

— Czy to jaka nagła słabość? — zapytałem
znowu.

— Nie. Już była chorą gdy do mnie przy-
szła; mnie i córce mojej zdaje się że to coś nie-
dobrego.

— Trzeba ją było umieścić w jakim szpitalu.

— Tak... zapewnie... pan zażąda niezawo-
dnie *honorarium* za swe wizyty, a więc zape-
wnie o to chodzi?

— Dobrze — odpowiedziałem, idę natych-
miast, i otworzyłem przed nią drzwi od ulicy.

W twarzy téj kobiety był jakiś szczególny wyraz, który mię uderzył.

W dziesięć minut byłem już na miejscu, i wszedłem do domu *publicznego*.

— Matko! matko! zawołało kilka wyędniałych dziewcząt—przyszedł doktor do Jetty.

Stara pojawiła się znówu ze świecą w ręku; była na wpół pijana, a z pokoju przyległego, z którego wyszła, usłyszałem chrapliwy głos mężczyzny.

— Chciej pan pójść za mną, powiedziała;— chora leży na trzecim piętrze.

Wszedłem do małej izdebki, słabo i ponuro oświeconej jedną cienką świeczką; stara objaśniła ją palcami.

— Jeżeli pan czego będziesz potrzebował, zawołaj tylko na mnie.

Powiedziawszy to, wyszła, z czegom był bardzo zadowolony. Jak tylko zamknęła drzwi za sobą, przysunąłem krzesło do łóżka wraz ze stoikiem, na którym stała świeca. Wtedy ujrzałem chorą: piękne jéj czarne włosy w nieładzie opadły na twarz, którą zakrywała rękami.

— Co pani jest? zapytałem najłagodniej-

szym, na jaki zdobyć się mogłem głosem, starając się wziąć ją za rękę.

Chora rozplakała się.

— Niechże się pani nie obawia i nie tai, jestem lekarzem po któregoś pani posyłała.

— A więc czy mnie poznajesz? — zawołała zrywając się z łóżka. A potem odjęła ręce od bladłej twarzy i wynędzniałej okropnie; i odgarńawszy włosy spojrzała na mnie obląkanym wzrokiem.

— Czy podobna! — zawołałem — Adelajda!!

Nic nie mówiąc ciągle patrzała na mnie, ruszając przytém głową gwałtownie, a potem upadła zemdlna na poduszkę.

Zdołałem ją ocucić w krótkim czasie.

— Na Boga! — zawołałem — panno von Bohr... (usłyszawszy wymówione swe nazwisko westchnęła głęboko, kryjąc znowu twarz w obu rękach). — Nie obawiaj się niczego, zaklinam cię; przybyłem tu na twoją prośbę, chcę ci więc przynieść ulgę. Powiedz mi co cię boli?

— Tu! — zawołała nieszczęśliwa dziewczyna kładąc lewą rękę na sercu z wyrazem okro-

pnój rozpaczy, i głosem który mię przejął do głębi duszy.

O! gdyby jój uwodziciel był obecny! czemuż nie mógł usłyszeć tego jednego wyrazu?

— Panno von Bohr... — powiedziałem, — czy czasem nie plujesz krwią?...

— Panno von Bohr!... powtórzyła, a w twarzy jój malowała się wtedy największa boleść. — O panie! nazywaj mnie jak chcesz byle nie tém nazwiskiem. Nie nazywaj mnie imieniem które shańbiłam.

Powiedziała to z tak gwałtowném wzruszeniem, że się aż zerwało jedno z małych naczyń płucowych; musiałem jój natychmiast puścić krew.

— Jakto? jeszcze krew? zawołała.

Nie dałem jój więcej mówić, zaklinałem tylko, żeby milczała i ufała méj troskliwości.

Na prędce zapisałem lekarstwo na świstku papieru, i zawołałem żeby kto przyszedł. Jakoż zaraz wbiegła do pokoju kobiéta odrażającą powierchowność.

— Masz tobie! — zawołała ujrawszy krew

i zbladła twarz chorój.—Biédna Jetto! nie wiele ci się już należy!

— Milcz! — powiedziałem ostro, dając jój przytém polecenie: — Ruszaj natychmiast po to, co tu napisane, i przyślij tu kogo starszego.

— Jój matkę — nieprawdaż?

— Jój matkę? — spytałem zdziwiony.

Chora uśmiechnęła się lekko.

— Ach! nie znasz pan zwyczajów tego domu, wszyscy nazywamy ją tu *matką*.

Litość, jaką doznałem na widok biédnej ofiary, połączyła się z pogardą, obrzydzeniem i wstrętem, jakie budziło we mnie to przekłete miejsce; byłem martwy aż do chwili, kiedy brzydka młoda dziewczyna wróciła z lekarstwem. Wlałem je natychmiast w szklankę i dałem zażyć chorój.

— Jetta musi się mieć daleko gorzej?—spytała głosem grubym, spoglądając na mnie bezwstydnie.

— Tak — odpowiedziałem jój w krótkości, — jeżeli nie będzie miała ratunku, umrze téj nocy.

— Czyby nie było lepiej odwieść ją do szpi-

tala? — rzekła zbliżając się do łóżka chorój, i patrząc na nią z głupią ciekawością.

— Nie nie! zawołałem — długo jeszcze nie będzie można ruszyć jój z miejsca, toby mogło spowodować śmierć; jój stan nie zniósłby najmniejszego poruszenia; słyszysz i rozumiesz mnie dobrze?

— Rozumiem, — ale i cóż z tego? nasz dom nie jest szpitalem, tu trzeba być zdrową i czerstwą, ażeby być użyteczną.

— Dziewczyno! przez litość! nie mów w podobny sposób przy łożu umierającej nieszczęśliwej swój koleżanki.

— Przy łóżku umierającej? mówisz pan, panie doktorze. Dla Boga! któż poniesie kosztą pogrzebowe, z pewnością matka nie podejmie się tego, i to jeszcze nie w jój parafii. — Potém nagle odwracając się do chorój rzekła:

— Jetto! wszakżeś miała pieniądze, cóżeś z niemi zrobiła?

— Idź! idź! — zawołałem odpychając ją od łóżka; na twarzy bowiem Adelajdy malowała się wtedy boleść. — Zostaw nas samych i bądź spokojna; podejmuję się wszystkiego.

Zbliżyłem się do chorąg.

— Zadam pani niektóre pytania — rzekłem — ale na nie tylko znakami będziesz mi odpowiadała.

— Czy pozwolisz przenieść się do domu zdrowia, gdy się będziesz czuła lepiej?

Dała znak potwierdzający.

— Może masz tu jakie dlugi?

— Nie — szepnęła. — Występne życie zapłaciło za wszystkie wydatki.

— Uspokój się... za godzinę będziesz miała wyborną służącą przy sobie.

Wstałem chcąc odejść. Z wysileniem dostała z pod poduszki mały woreczek i podała mi go.

— Schowaj swoje pieniądze, zawołałem. Ucisnęła mi rękę.

— Jeszcze jedno słowo, — rzekła po chwili milczenia, — nie mów o mnie swój żonie.

Spojrzała na mnie błagająco; przyrzekłem, aby ją uspokoić, choć wiedziałem że nie dotrzymam obietnicy.

Gdy bez światła schodził ze schodów, zatrzymały mnie dziewczyny tutejszego domu, które otaczały jakiegoś człowieka obwiniającego jedną z nich o skradzenie zegarka.

— Cicho bądźcie! na imię Boga was zaklinam!—zawolałem—czyliż nie wiecie, że tu jest osoba konająca?

— A co mi tam do tego, kiedy mnie tu nie-słusznie oskarżają,—odezwała się jakaś na wpół tylko ubrana jędza, która mimo powstrzymujących ją towarzyszek, głosem i ruchem odgrażała młodemu mężczyźnie, z uporem twierdzącemu, że widział zegarek w jej ręku.

— Chciałem pani coś powiedzieć,—rzekłem do starój.

— Mnie?—krzyknęła trzęsąc się z gniewu. —Teraz nie mam czasu. Czy nie widzisz pan jak ten niegodziwy oszust oskarża jedną z mych dziewczyn o kradzież, usiłując *splamić honor mego domu*. Oto jest frycka, powiedz jej to pan.

Na wołanie starój, wysoka dziewczyna wyszedłszy z tłumu wprowadziła mnie do małej izbedki, pytając czego sobie życzę.

— Chciałem ci tylko powiedzieć,—rzekłem— że panna Adelajda jest teraz pod moją opieką, i że ją dobrze znam.

— Ach! pan ją znasz dobrze; panie dokto-
Pamięt. Lek. S. II. Tom II.

rze! tysiące innych mogłoby się tém samém pochwalić.

— Milcz!—zawołałem oburzony,—i słuchaj co ci powiem: panna Adelajda jest bliską skonu, najmniejszy hałas lub niepokój może jój śmierć przyspieszyć, a wtedy pociągnąłbym was do odpowiedzialności.

— Doktorze! bardzo mi to przykro, gdyż ta dziewczyna była ze wszystkich w tym zakładzie najłagodniejsza i najuczciwsza. Cóż możemy dla niój uczynić?

— Teraz dać jój tylko największą ciszę; żeby nikt do niój nic nie mówił, a najdalej za godzinę przyśle kogoś co będzie miał staranie o niój.

— Ale czémże panie doktorze, ta dziewczyna wynagrodzi panu wszystkie koszta.

— To już do mnie należy, opiekuj się nią tymczasem.

Wyszedłem.

Przez całą drogę myślałem o Adelajdzie: nie-stety! jakżeż się zmieniła od czasu kiedy ją raz piérwszy widział, jakżeż dziś różna od téj świetnej piękności, z której tak dumna była jój mat-

ka, a nawet cała okolica Brandeburga. Któż ją tak nisko zepchnął? Matka jój, wdowa po urzędniku, który żadnego nie pozostawił majątku, za pośrednictwem przyjaciół najęła dom na przedmieściu, i odnajmowała od siebie pokoje rozmaitym osobom, życzącym sobie dla zdrowia lub przyjemności oddychać świeżem powietrzem. W czasie słabości méj żony i ja także przed trzema laty wynająłem mieszkanie od matki Adelajdy, która tak dalece zachwyciła nas wdziękiem postawy i całym ułożeniem, że Emilija uczuła do niej silny pociąg. Jakież było jój zdziwienie i boleść, gdy się dowiedziała o dzisiejszém jój położeniu.

— O mój drogi!— zawołała moja żona,— czy to być może. Otocz ją całym swém staraniem, i nie opuszczaj jój; uratuj ją od śmierci i oddaj biédnej matce, jeżeli boleść nie zabiła jój jeszcze.

Całą noc nie mogliśmy zmrużyć oka, a ja już o świcie byłem przy łóżku Adelajdy.

Poruszenie czuwającej slugi gdym wchodził zbudziło chorą. Spojrzała na mnie wzrokiem gasnącym.

— Powiedz mi, ale mów jak najciszej, jak się czujesz?

— Czuję tylko że żyję doktorze, jakby przebudzona w grobie. Cóż to za kobieta?—zapytała mdlejącym głosem, patrząc na służącą siedzącą w nogach na łóżku.

— Ta kobieta będzie miała o tobie staranie,—odpowiedziałem.—Całą noc czuwała przy tobie. Chora usiłowała podać jej rękę, którą służąca uściśnęła w swą dłoń. Przez kilka dni Adelajda leżała bezprzytomna.

Pewnego poranku około godziny dziesiątej idąc do niej, usłyszałem na schodach przez drzwi na wprost otwarte, głosy kilku rozmawiających osób. Wymówiono imię Adelajdy, zatrzymałem się chcąc wysłuchać co mówią.

— Powtarzam wam jeszcze raz, że i tak jużemy długo czekali, i że wkrótce będzie zapóźno, — mówił jakiś człowiek głosem krzykliwym:—wiem że ma te pieniądze pod poduszką, a więc zabierzmy je jak najprędzej.

— A co zrobimy ze służącą, która jej nie opuszcza? — odezwał się głos kobiety, po którym poznałem starą matkę.

— Wypchnę ją za drzwi i zrzucę ze schodów, wszak to nie pierwszy raz będzie? nieprawdaż?

Piekielna tłuszcza zaśmiała się głośno.

— Ale czyby matka nie mogła pójść, i pod pozorem przesłania jej łóżka, spokojnie zabrać woreczek?— spytała jakaś z młodszych bezczelnie.

— Jaby miała prześcielać jej łóżko, czyś zapomniała jak Jetta mnie nienawidzi, a przytém kobieta co jest przy niej, posługuje jej we wszystkiém.

— No! już widzę, że pewno przeklęty doktor zabierze jej woreczek; ten lajdak nazwie to swoim honorarium, gdy my to szczerzej wyznamy, że ukradniemy, nieprawdaż matko?

— Ależ matko!— odezwał się głos kobiety, którego dotąd nie słyszał,— uważaj, że biedna Jetta umiera.

— A to właśnie dla tego, głupcze! nie potrzebuje mieć pieniędzy; zresztą przeniosą ją do szpitala, gdzie nie potrzebuje nic płacić.

— Dobrze mówisz matko! — zawołał mężczyzna,— moje jednak zdanie jest najlepsze, musimy je zaraz wykonać.

Z szybkością zbiegłem ze schodów, i udałem się do Komissarza Policyi, który mi dodał konstabla. Pokazałem mu drogę i powiedziałem o co idzie. Zbliżając się do domu, jedna z dziewczyn poznawszy go, chciała natychmiast biedz dla ostrzeżenia; lecz urzędnik zatrzymał ją, wskazując na szarfę.

— Zginęłaś! — zawołał — jeśli wydasz najmniejszy krzyk. Idź pan — doktorze, ja zaraz będę za tobą.

Wszedłszy do pokoju Adelajdy, zdziwiłem się widząc przy jej łóżku, na miejscu zwykle zajmowaném przezemnie, ostatniego rzędu obdartusa, który najspokojniej słuchał ze wzruszeniem przemawiającej do niego sługi. Na odgłos mych kroków powstał, i z miną niedowierzającą zbliżał się do drzwi, gdzie spotkał konstabla.

— Trzymaj go pan! — rzekłem — on tu popełnił kradzież.

Konstabl schwycił go za kołnierz.

— Co ja ci winien oszuście? — wołał lotr zwracając się do mnie.

— Cicho! nie rób hałasu i chodź ze mną spokojnie, bo ci w łeb palnę, — rzekł konstabl,

przykładając mu do skroni lufę nabitego pistoletu.

Aresztant chciał się opierać.

— Przykro mi to z powodu chorój—rzekł,— ale muszę mu w leb pałać.

— Daj pokój na Boga! — zawolałem — nie chwytaj się téj ostateczności.

— Złodzieju! — zawołał konstabl targając nim gwałtownie za kark i piersi, — powtarzam ci raz jeszcze że zginiesz, jeśli nie pójdziesz z mną.

— Co pan chcesz odemnie? — woła złodziej. — Jakiem prawem możesz tego wymagać odemnie?

— Oto na mocy takiego prawa—rzekł konstabl przykładając mu lufę pistoletu do twarzy, i byłby mu w leb strzelił, gdyby nie Adelajda przebudzona ogromnym krzykiem złodzieja.

— Litości! litości! — zawołała zrywając się na łóżku, i padła na kolana wyciągając ręce ku grupie szamocącej się przy drzwiach.

Zbliżyłem się czém prędzej do niej prosząc ją, żeby się uspokoiła, i począłem zapewniać, że niema żadnej obawy, i że tylko chcę ją od wszy-

stkiego złego obronić. Nic nie odpowiedziała, tylko drżała ciągle jak liść wiatrem poruszany.

Złodziej w końcu pozwolił się najspokojniej prowadzić.

Po chwili lekko zasztukano do drzwi. Był to urzędnik.

— Już zabezpieczyli złodzieja — rzekł do mnie,— a na pana czeka już powóz na dole, można nim tę panią natychmiast odwieść do szpitala. Postąpiłem podług pańskiej rady.

Stan Adelajdy, początkowo bardzo zatrważający polepszał się widocznie. Niektóre ślady dawniejszej piękności dawały się spostrzegać; przychodziła do siebie prędko; a służąca, która się bardzo do niej przywiązała, nie chciała ani na chwilę opuszczać chorój.

— Adelajdo! — powiedziałem jój raz — oto powróciłaś do życia.

— Do życia? — powtórzyła westchnawszy głęboko, — wcale się z tego mój doktorze nie cieszę, wolałabym umrzeć.

— Zawsze to pani powtarza — przerwała służa, — ja powiadam, że to źle, bardzo źle tak mówić, nieprawdaż panie doktorze?

— Zapewnie! — odpowiedziałem, — jest-to niewdzięczność względem Opatrzności, która tak cudownie przywróciła ci zdrowie.

— Nigdy nie byłam niewdzięczną, — rzecze Adelajda, — ale życie nie ma dla mnie powabu. Śmierć tylko może mi dać spokój jakiego pragnę.

— Zdaj się na wolę Boga, — przerwałem, i troszcz się o swą przyszłość; pomyślę ja o spokojném i skromném dla ciebie schronieniu.

— Powiem ci coś niespodzianego doktorze, posiadam teraz przeszło 5,000 talarów.

Spojrzalem na nią ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

— Możesz mi wierzyć doktorze, — mówiła dalej, — powiedziałam prawdę. Kwota do mnie, do mnie jedynie należy, odziedziczyłam ją po stryju. Nie stawilam się dotychczas po odbiór, nie chcąc brać spadku po rodzinie którą shańbiłam. Poświęciłam Bogu te pieniądze jako małe zadośćuczynienie za me grzechy.

— Biędna dziewczyna! W tym czynie jaki przekonywający dowód jój żalu! Zamilkłem nie wiedząc co odpowiedzieć.

* * *

— Doktorze! opowiem ci moje przygody,— rzekła mi jednego poranku,— zobaczysz, jak dumna, a potem miłość pogrążyły mię w przepaść, w której mnie znalazłeś.

— Przypominasz sobie zapewne czas, kiedyś mnie poznał. Żyłam wtedy pod opieką matki spokojna i szczęśliwa. Chwalono moją piękność, z której cóż dzisiaj pozostało?

Nie chcąc się zajmować gospodarstwem domowém, przepędziłam życie na czytaniu romansów, wyobrażając sobie, że kiedyś dostanę wielkiego pana za męża. Zakrwawia mi się serce na wspomnienie, ilu to młodych i godnych ludzi odepchnęłam, nie tylko z dumą lecz nawet z pogardą... ja !... która później!!...

Pewnego wieczora, gdym z książką w ręku przechadzała się nad rzeką, spotkałam się nagle z młodym jakimś wojskowym, który także bawił się czytaniem. Zdziwiony cofnął się o kilka kroków; zdjawszy czapkę uklonił mi się, przepraszając mię i tłómacząc się bardzo ujmująco. Zdawało się, że głębokie na nim zrobiła wrażenie jak również on na mnie; godzina moja wybiła. Rysy jego twarzy były nadzwyczaj miłe,

głos trafiał do serca, nie mogłam go się dosyć nasłuchać; mówiąc do mnie, stał w odległości pełen uszanowania; przyzwoitość jego i powaga bardzo mię ujęły, i zmusiły niejako zostać w miejscu.

— Sądzę-- rzekł do mnie,— że pani często przechadzasz się nad tą rzeką, gdyż mieszkanie jój jest stąd niedaleko. Więcej już nie będę pani przeszkadzał, — rzekł dalej z miłym uśmiechem.

Sklonił mi się nisko i odszedł. Słowa jego były pełne poezyi, bez przesady, pełne uczucia delikatności, zdawało się, że chciał mi się przypodobać, i to jego umiarkowanie spodobało mi się.

Zamknęłam książkę, i usiadłszy oddałam się marzeniom o tém spotkaniu. Co za dziwne szaleństwo! żalowałam tego człowieka, którego nazwiska nawet nie znałam, pragnęłam żeby jaki wypadek sprowadził go do mnie, serce biło mi mocno, a uprzejmość z jaką do mnie przemawiał, zdawała mi się być przepowiednią głębszego uczucia.

Wróciwszy do domu, usiadłam do fortepianu. Po małej przegrywce ręce moje latały po

klawiszach nie mogąc wygrać żadnej sztuki. Matka chciała mi dyktować list, ale mi tyle narobiła błędów, że się na nie nie przydał. Przepędziłam noc niespokojnie, lękałam się o siebie, przeczuwając namiętność niepoohamowaną, gwałtowną. Podobna miłość od pierwszego spojrzenia wydać ci się może śmieszna, a jednak ja mówię prawdę! Nazajutrz z książką w rękę wróciłam na miejsce wczorajszego spotkania, ale on nie przybył, pojutrze toż samo, ale znów napróżno, nie spotkałam nikogo. Byłam nierozsądną!

W nadchodzący Poniedziałek zobaczyłam go wreszcie idącego pod rękę z towarzyszem, lecz był błądy, osłabiony, z ręką na temblaku; spostrzegłszy mnie zarumienił się. Wyczytałam już poprzednio w gazecie, że porucznik Alfons S... pojedynkował się z jakimś hrabią polskim, który go ranił w lewe ramię. Nie wątpiłam więc że to on.

Niespokojną byłam z powodu tego pojedynku. Niebezpieczeństwo, na jakie był narażony, przejęło mnie do żywego. Niestety! kochałam go już! a miłość ta powstała w kilka minut, wywarła wpływ na całe życie i zgubiła mnie.

W kilka dni potém spotkawszy go, nie wiem jakim sposobem ośmieliłam się wyrzucać mu ten pojedynek. Zarumienił się, i z zadziwieniem spojrzawszy na mnie, pokazał mi jak był tém dumny, że życie jego tak mnie obchodziło.

Tegoż samego wieczora byłam tyle nieroztropną, żem przyjęła jego rękę; nazajutrz zesłiłam się w tém samym miejscu. Dowiedziałam się, że był oficerem jazdy, i że tu przybył dla poratowania zdrowia.

Tak widywaliśmy się codziennie nad wieczorem przez kilka tygodni, i widział coraz wzrastającą we mnie dla niego namiętność. Żądał tajemnego małżeństwa, gdyż jak mówił, ojciec nie będzie chciał się nigdy inaczej zgodzić na jego szczęście. Za zbyt go kochałam, abym mu mogła nie wierzyć lub robić jakie uwagi. Przystałam na jego żądania, i wkrótce wyjechaliliśmy spełnić ten zamiar. Zawiózł mię do Paryża, i nie opuścił niczego, coby mię mogło rozerwać i utrzymać w stanie ciągłego oczarowania. Ale wśród ciągłych roskoszy, ścigało mnie i raniło bolesne wspomnienie! doktorze nie mogłam się ukryć przed wspomnieniem matki!

Po trzech tygodniach musiałam się położyć w łóżko, skutkiem gwałtownych wzruszeń, mocno zapadłam na zdrowiu. Uwodziciel mój czuwał nademną z troskliwością pełną miłości. Później, przywykłam do mego położenia, i oddałam się z całym zapalem zabawom paryskim. Co wieczór błyszczałam w nowym stroju, co dzień czekały mnie nowe przyjemności. Zatarły się wkrótce moje wspomnienia, uciszył się żal, myślałam tylko jak mam używać życia; ale przykrości, gniew i smutki stopniowo zaczęły mięszać nasz spokój.

Pewnego dnia porucznik wydobyl z pugilaresu list pisany przez jednego z jego przyjaciół. Donoszono mu, że matka przeczytawszy mój list rzuciła go w ogień, przeklęła mnie, przysięgła sobie nie widzieć mnie nigdy, i obsypywała mnie najcięższymi obelgami. Było to bezcelne kłamstwo. W sercu méj matki było niewyczerpane źródło przebaczenia i dobroci. Chciałam w siebie wmówić, że ta dobra matka wykluczyła mnie ze swego serca; byłoby to usprawiedliwioném, ale co było dla mnie najokropniejszym, to mój tak niski upadek, który ni-

szczył resztę wyższych szlachejnych uczuć jakie pozostały we mnie. Przywykłam do mego losu, nie wspominałam więcej panu Alfonsowi o małżeństwie, a życie płynęło mi bez celu i pragnienia czego.

Wkrótce spostrzegłam, że się bardzo dla mnie zmienił, i że pragnie bym się od niego odłączyła. Najzepsutsi ludzie bywali u niego, a ja musiałam im robić grzeczności. Usłużność ich i widoczne nadszkiewania nie obchodziły go wcale. Nic go nie cieszyło, i ze wszystkiego był niezadowolony, ciągle się sprzeczał, i nie raz bardzo dotkliwie zranił moje uczucia lub dumę.

Czas urlopu jaki uzyskał wyszedł już; trzeba było za ośm dni opuścić Francję, i wracać do Pruss. Miałam więc powrócić do ojczyzny, między ludzi, których dawniej znałam! co za okropna myśl! Nie byłabym tego przeniosła. W przeddzień wyjazdu opuściłam Paryż z młodym, pięknym, bogatym i rozpustnym człowiekiem. Pojechaliśmy do Rzymu. Wkrótce porzuciłam go dla innego, z którym toż samo zrobiłam dla trzeciego. Czas jakiś błyszczałam tém światłem, ja-

kiem wielcy panowie otaczają swoje kochanki; światłem szybkim, hańbiącym i przemijającym.

W końcu śmiertelnem się rozchorowała, zwiędła moja piękność a z nią znikło wszystko. Nie miałam więcej nad trzysta talarów całego majątku. Przybyłam do Paryża, gdzie zabawiłam przez trzy tygodnie później; zapragnęłam wrócić do Pruss, które zdawały mi się być ziemią obiecaną. Pojechałam więc do Berlina w Grudniu. W drodze spotkałam się z młodym paniczkiem, którego dawniej Alfons mi przedstawiał, jako jedyne go ze swych przyjaciół. Ofiarował mi bez ceremonii dom i stół. Żyłam z nim przez cały miesiąc. Gdym została sama w Berlinie, oparował mnie nadzwyczajny smutek, a chcąc się w nim rozerwać, zaczęłam pić mocne likiery. Raz w wieczór poszłam do teatru. Orkiestra zagrała jakąś śliczną sztukę, w około wszystko zdało się oddychać wesołością i szczęściem, a mnie wtedy ogarnął gorzki i głęboki smutek. Jakże na mnie oddziaływała ta tęskna i słodka melodyja muzyki! Omdlewałam prawie, a po półgodzinnem słuchaniu, dostałam mocnego ataku nerwowego. Spostrzeżono to. Jakaś kobieta

obok mnie siedząca zawołała:— Ona zemdleje.— Była to znana młoda i piękna zalotnica, ubrana w brylanty. Spojrzałam potem na łoże, w których pełno było błyszczących kobiet. Widok ich napelnił mnie smutkiem, jakżeż mi się wszystkie zdawały być pięknymi. W jednej łoży usłyszałam głośniejszy śmiech, zwróciłam się w tę stronę, i ujrzałam w niej Alfonsa w towarzystwie trzech dam. Zaciemniło mi się w oczach, i padłam bez przytomności.

Nazajutrz zrana przyszedłszy do siebie, ujrzałam się w łóżku. Jakaś młoda dziewczyna stała w głowach i powiedziała mi, że zemdleła w teatrze, że znaleziono mój adres w pularesiku i następnie odwieziono mię do domu. Gospodyni powiedziała mi, żebym się jak najprędzej od niej wyprowadziła, gdyż nie chce, aby osoby podobne mieszkały w jej domu. Zabrawszy z sobą dziewczynę, która mi usługiwała, wyszłam z mieszkania. Dwa dni jeszcze musiałam pozostać w łóżku, a gdy mogłam wstawać, chodziłam z nią do teatru. Nie miałam już wtedy więcej jak tysiąc złotych całej summy, która się codziennie zmniejszała, i kilka przedmiotów.

które sprzedalam. Minał już czas, w którym żyłam świetnie kosztem własnej godności; teraz zaś nie miałam z czego żyć. Cóż mi więc pozostało? Szukałam śmierci pijąc nadzwyczaj wiele likieru, ale na próżno; żyłam więc w nędzy i zgryzocie.

Wspomnienie matki nie odstępowało mię ani na chwilę od czasu przybycia do Berlina, nie mogłam się niczego o niej dowiedzieć; ale obawa o nią była tak silną, że postanowiłam przebrana udać się do niej. Niestety! nie znalazłam już domu gdzie spędziła tyle dni szczęśliwych!

Zimny dąszcz padał i przemoczył do nitki moją starą zniszczoną salopkę. Co za przykra droga! Zziębnięta weszłam do małego szynku, gdzie wypiwszy parę kieliszków wódki, nabrałam trochę sił. Niestety! ani czas, ani droga, ani umęczenie nic nie przyniosły. Na miejscu domku matki wznosi się skład robót pozłacanych z wystawą błyszczącą i pretensyjonalnym znakiem. Nie zatrzymywałam się tu długo i podeszłam do drugiego domu, gdzie z załamaniem rękami i gwałtownie zaciśniętymi ustami stałam przez czas jakiś. Wkrótce ujrzałam zbliżającego się

człowieka; cała drżąca spytałam się o mieszkanie matki mojej.

— Aha! pani von Bohr?... Tak, to będzie ta sama, której córkę przed czterema laty wykradł jakiś wojskowy. Biedna poczciwa kobieta! umarła już z półtora roku.

Usłyszawszy to, stanęłam jak wryta. Oh! moja matko! zawołałam, nie mogłaś przeżyć hańby, jaką się okryło jedyne twe dziecko, i umarłaś! Nie padłam, nie zemdlalam, nie krzyczałam, ałem zaczęła uciekać z tego miejsca, które tak było dla mnie straszne. Biegłam jak waryjotka. Przypadkiem przejeżdżała dorożka, zatrzymałam ją i kazałam się odwieść do Berlina. Gdy przyszło do zapłaty, nie znalazłam ani grosza więcej nad dwa złote; a cena zwyczajna była około talara. Dorożkarz oskarżał mnie o oszustwo, i wiózł na ratusz.

— Jak mogłaś podobnie sobie postąpić?— rzekł spoglądając surowo.

Padłam na kolana nie wiedząc gdzieś była i co się działo w okolo.

— Cha! teraz widzę kto ty jesteś. Nie warto zatrudniać sędziego podobnemi stworzenia-

mi,—dodał po chwili rzuciwszy mi dane mu pieniądze pod nogi.

Wtedy krzyknęłam przeraźliwie i bezprzytomna padłam na ziemię. Odwieziono mnie do szpitala, gdzie przebyła trzy tygodnie. Ledwie mnie uratowano ze straszego zapalenia mózgu, które omal nie położyło kresu memu smutnemu położeniu. Gdy stąd wyszła znalazłam się bez pieniędzy i bez schronienia. Młoda jakaś dziewczyna, która jednocześnie zemną szpital opuściła, namówiła mnie bym weszła do domu nierządnic, gdzie mogę mieć jakiś zarobek. Stąd wziął mnie do siebie jakiś młody cudzoziemski hrabia, który przyrzekł dawać mi pieniądze za każdą razą, gdy ich od niego zażądam; jakoż dał mi 400 złotych przy pierwszej prośbie, ale gdym się drugi raz do niego udała, oświadczył, że się zgrał w karty i rozmaicie zaszargał, tak, że mnie już nie potrzebuje.

Pewnego wieczora, gdym się w towarzystwie podobnych mnie kobiet zatrzymała koło drzwi teatru, spostrzegłam Alfonsa, który podawał rękę jakiejś damie bogato ubraniej, wsiadającej do powozu. Gdy spojrział na mnie, poznał

i zbladł jak śmierć, potem zaraz wsiadł z ową damą do karety, która zdawała mi się być jego żoną, i odwrócił się do niej. Być może, że się obawiał jakiego zajścia zemną. Dowiedziałam się niezadługo gdzie mieszka. Często wśród ciemnej nocy z dumą przechadzałam się około pałacu, w którym mieszkał. Ale usłyszawszy w salonie jego fortepian; o! jak gorzkimi zalewałam się łzami! Kilka razy zdawało mi się, że przez cienie zasłoniętych firanek widzę go obok żony swojej, na łonie szczęśliwej rodziny. Doktorze! te noce nigdy nie wyjdą z méj pamięci...

Przechodziłam nie raz i około twego domu, i płakałam myśląc o tobie. Widziałam cię raz z żoną, a widok ten głęboko mię dotknął, tak byłam do was przywiązana. Pysnilam się waszą przyjaźnią, uważaliście mnie za równą sobie, a wtedy ujrawszy was przypominałam sobie dawniejszą czystość, i upadek w jakim teraz byłam...

Zamilkła na chwilę i rozplakała się.

— Poznałeś całe moje życie; dusza w upadku, słaby umysł, głęboka nieczułość, oto były moje

przymioty. Nie wiem czym ogłupiała czy oszalała, ale krzyki budziły nie raz sąsiadów ze snu.

Gdym była samą w pokoju, dla zabicia czasu lub dla rozrywki, brałam dzienniki, i tym sposobem dowiedziałam się o śmierci mego krewnego, który zapisał mi owe trzydzieści tysięcy. Zrobiłam wtedy silne postanowienie nieodbierania tego spadku za życia, osądziłam się niegodną dziedziczenia po tych, których nazwisko shańbiłam, i przeznaczyłam tę sumę po mojej śmierci na zakład Świętej Magdaleny.

Przed trzema może miesiącami w południe, przechadzając się pod Lipami, usłyszałam okrzyki trwogi po za sobą, odwracam się i spostrzegam rozbrykanego konia pędzącego galopem; jeździec usiłował powstrzymać go, wszyscy uciekali przed nim. Na skrawku ulicy koń przstraszywszy się nie wiem czego, dał dęba, i rzucił o dziesięć jakie kroków oficera, który na nim siedział; nieszczęśliwy rozbił głowę o bruk. Pobieglam mu na pomoc, ale nie poruszał się, nie oddychał, słowem, nie żył, a ja pomimo krwi pokrywającej jego twarz, poznałam go: był to Alfons, mój uwodziciel.

O Opatrzności! dotknęła go twa sprawiedliwość; straszna twa ręka spoczęła na nim. Uwodziciel zginął w oczach swęj ofiary!

Adelajda zbladła, zatrzymała się, głośnie lkania tłumily jęj mowę.

— Tak, — mówiła po chwili, — widziałam śmierć jedynejo człowieka, którego zawsze kochałam, który był przyczyną nieszczęścia całego mego życia. Od tego dnia cień jego ani na chwilę nie odstępuye i ściga mnie bez ustanku, wszędzie widzę skrwawionego umarłego Alfonsa. Oh! pomimo całego twego wysilenia doktorze, pośpiesz się za nim, czuję to, i to jest moje najgłębsze przekonanie, chcę prędko umrzeć.

Potém mówiła dalej:

— W tém położeniu będąc zbrzydło mi wszystko, a jednak nie mogłam z niego już wyjść. Spodłona, poniewierana, bita, ściągana do Policyi, wypędzana przez kaprys właścicielki domów publicznych, włóczyłam się z domu do domu, gdzie słyszała często język złodziei, albo téż widziałam zbrodnie. Raz zawiniłam coś, przełożona zbita mnie okropnie. Ah doktorze! co za życie? Śmiać się w rozpaczy, upijać się

gdy mordują, śpiewać, udawać śmiałą, wesołą, gdy głód dokucza. Piersi moje trawiła konsumpcja, która mnie zabija.

Może będzie ze trzy tygodnie, gdym szła ulicą, jakiś młody człowiek jadący konno, spojrzął na mnie, poznał i powiedział zbliżywszy się:

— Pani widywałaś mnie u porucznika Alfonsa?

Był to ten sam Anglik, z którym opuściłam Paryż odszedłszy od Alfonsa.

— Zdajesz się być nieszczęśliwą, — mówił dalej: — jesteś pani widzę chora, trzeba myśleć o swém zdrowiu.

Wyjął z pugilaresu kilkaset złotych i dał mi je; potem spojrzawszy w okół, gdy mu się zdało, że go może kto widzieć ze mną, siadł na konia i odjechał. Przyjęłam bez namysłu i spokojnie tę jałmużnę i upodlenie; część mych występków zdawała mi się być odkupioną przez to upokorzenie. W przypominaniu sobie wszystkich udręczeń, znajdowałam jakąś dziką rokosz. Miałam mająteczek a jednak gardziłam nim, wołałabym umrzeć. Z kilkuset złotych tego Anglika mogłabym była coś oszczędzić, miałam

je jeszcze schowane w tym ostatnim nędznym przytulku, gdzieś mię mój zbawco znalazł. Zdziwisz się zapewne, że tych pieniędzy nie użyła dla obrania sobie jakiego uczciwego stanu, ale na to trzeba było zmienić sposób życia, a mój zły duch nie dopuścił do tego. Jestem potulną zbrodniarką bez nadziei wydobyć się, bez chęci wyrwania się z otchłani zbrodni. Dom, w którymś mnie znalazł, nie jest miejscem samego zepsucia, ale i zbrodni. Powinnam umrzeć, i nie być żalowaną przez nikogo, nie zasłużyłam sobie na żadną litość.

Zatrzymała się dłużej, otworzyła usta, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale już nie mogła, i padła zemdlona; po trzech minutach otworzyła oczy i ciężkie westchnienie wydobyło się z jej piersi.

— Tak jest—rzecze nareszcie dalej Adela—da,—tak nikczemny potwór jak ja nie powinien już wracać pomiędzy uczciwych ludzi, nie powinien kłaść swym przeklętym oddechem siedzib enoty i spokoju. Dla takiej co kształconą była starannie, a potem bezwstydomi się oddała, dla takiej wyrzuty sumienia, bóle, wstyd i

śmierć w ohydнім miejscu, a grób w niepoświęconej ziemi jest zasłużoną karą. Doktorze! wiész że w straszliwym szale, mszcząc się na sobie samój, katując się bez litości, wiész! zem zesła na bezwstydnicę żydów, plemienia tak mi nieawistnego, że mnie dreszcze porywają na samo ich wspomnienie. Ale chciałam się sama ukarać, srogo, nieubłaganie, bom na to zasłużyła; chciałam się skalać do reszty, ja szlachetnie urodzona a ze wstydu wyzuta panna. Nieprawdaż doktorze, dla mnie litości niéma? nieprawdaż doktorze?

— Adelajdo! Adelajdo! nie bluźnij!—rzeknę do młoděj kobięty tak okropną rozpaczą dręczonej.— Adelajdo! Odkupiciel świata nie tak przemawiał do nędznej grzesznicy, która łzami swe mi stopy Jego obmywała. Nie potępiaj siebie za nadto; miěj litość sama nad sobą, bo żałujesz.

Balsam religii ukoił jěj zale...

* * *

Dzień, w którymśmy razem opuścili szpital, głęboko mi utkwil w pamięci.

Było to na wiosnę; niebo piękne uśmiechało się do nas, ciepłe powietrze rokosznie zagrzewało nasze dusze. Jechaliśmy szybko koczyskiem, w głębi którego siedziała Adelajda i jej służąca. Nigdy nie czułem większego moralnego zadowolenia jak wtedy, gdym wiozłem do samotnej cichej owczarni tę zblakłą owieczkę.

Był to mały domek nieopodal od drogi, leżący w małym lasku; ładny murowany domek wznosił się między zielonym jaśminem i powojem. Adelajda wszedłszy do przedpokoju padła na kolana, drżące ręce wzniosła ku niebu, i w tej postawie pozostała dość długo.

Ludzie! którzy nie lubicie innego życia jak w powierzchownej wystawie i w bezpożytecznym blasku, wy, którzy nie pojmujecie innych przyjemności nad zmysłowe rokosze, wy szyczycie z scen, którem tu opisałem: są one małoznaczące dla was, ale też i nie dla was są pisane!!!

— Doktorze! zostaniesz zemną w korespondencyi? nieprawdaż? — powiedziało do mnie biedne dziecko, — a listy będziesz adresował *do chatki Adelajdy*.

Często odwiedzałem Adelajdę. Zdawało się

że przyszła zupełnie do siebie. Z każdym miesiącem przybywało jój zdrowia, a przytém spokój umysłu, spokojność głęboka prawie religijna tój samotni, myśli pobożne, co ją ciągle zajmowały, uczynki miłosierne, które rozsypywała na około, przyczyniały się do zape wnienia jój szczęścia. Trzy lata żyła tak choć osłabiona i tęskna, ale o tyle szczęśliwa, o ile ponure wspomnienia przeszłości pozwalały jój nią być. Dnie całe z zapalem się modliła. Zaniedbany katar, którego się nabawiła ze zbyt długiego siedzenia w kościele, wywołał też same symptomata suchot, które mi się raz udało wyleczyć. Trzeba było przyczyny, żeby się były odnowiły, a przyczyna znalazła się. Przebieg choroby był nadzwyczaj prędko.

Wiele cierpiała w chorobie, przewidywałem jak mię skon jój zasmuci. Silnie, serdecznie lubiłem Adelajdę, i mocno się do niój przywiązałem; po tylu usiłowaniach boleśnie ją było tracić. Im się bardziej zbliżała fatalna chwila, tym więcej się starałem być przy niój spokojnym. Podyktowała mi ostatnią swą wolę. Żądała, ażeby nikt więcej prócz mnie, służącój i trzech

ubogich kobiet miejscowych nie był na jój pogrzebie. Zastrzegła sobie nadewszystko, ażeby żadnego napisu nie kłaść na grobie.

— Niech się zatrze pamięć o mnie,—mówiła.— Tylko,—dodała płacząc— wy nie zapomnijcie o biédnej dziewczynie, która was tak kochała.

Rozpłakaliśmy się wszyscy.

Ostatniego Stycznia o trzeciej godzinie po południu, przybyłem do chatki. Jakaś stara kobieta, którój nigdy nie widziałem, otwierając wrota powiedziała ;

— Adelajda już nie żyje.

Służąca z płaczem powitała mię w pokoju.

— Nieboszczka zostawiła dla pana pamiętkę.

Wszedłem do pokoju, gdzie zastałem zmarłą jeszcze nieostygłą; twarz jój nie straciła téj słodyczy i melancholijnej piękności, jaką miała za życia. W zimnej ręce trzymała haftowaną chustkę, nad którą, że pracowała, widziałem dawniej.

— To dla pana, — rzekła służąca.

Wziąłem chustkę, na której znalazłem następujący napis wyhaftowany ręką Adelajdy:

— Adelajda zbawcy swemu, lekarzowi ciała i duszy.

Biędna Adelajda!

ROZDZIAŁ II.

Pojedynek na puginały.

Jestem od dwóch miesięcy w Portugalii. Pewien młody Fidalgo, zaprosił mnie jednego razu na polowanie do małego zamku Braganzy. Wiadomo, że w tych chwilowych mieszkaniach, zbierają się ludzie majątni, znudzeni pobytem w stolicy przez lato i zimę. Tutaj zwykle młoda majątna szlachta portugalska nabiera dobrego humoru. Książę Pallucella, dzielny agronom, żywy, przyjemny, zachwycający, łączył gracyją arystokraty z ujmującą prostotą szlachcica wiejskiego, pojmującego szlachetną duszę w każdym dobrze wychowanym człowieku.

Hrabia zaś de Lawradio który szukał w woj-

sku karyjery, wesoly, także nadzwyczaj żywy, (którego przytém charakter, wywoływał nieraz sceny jakich byłem świadkiem), żył ciągle w towarzystwie wojskowych, i popełniał codziennie tysiące niedorzeczności, przeinaczał się co chwila, szukał ciągle nowych zabaw, kochał się w wytwornym stole, w doskonałych winach, pięknych koniach, które zajeżdżał. Sąsiedni dzierżawcy lubiący spokojność i swe pola obsiane, niszczone przez niego bez litości, nie mogli się dość użalać na niego. Żył przytém ciągle awanturniczo, często kolacje przeciągały się u niego późno w noc, robił zakłady szalone, wyprawiał polowania bez końca, a gra, pływania i próby pistoletowe ciągnęły się już bez przestanku od dni pięciu. Hrabia de Lawradio chciał nas zabawić. Miasteczko Tavi, w którym mieszkał, leżało od zamku bardzo blisko. Zostaliśmy piśmiennie zawiadomieni o balu, który z podpisów miał być dany w tém mieście, a wszystka szlachta okoliczna pośpieszyła się zapisać na niego. Spodziewano się liczного zgromadzenia; miało się bowiem zjechać mnóstwo osób, wielu z przyjaciół hrabiego, a on sam

ogłosił się gospodarzem balu. Trzeba było widzieć to miasteczko; za szczupłe na pomieszkawanie przybyłych tancerzy, zamienione w pewien rodzaj obozu, gdzie się wesołe odbywały hulanki. Odgłos muzyki, odbijając się o góry sąsiednie, budził okolicznych mieszkańców; mieszczanie zachęceni tym widokiem, zrobili dla siebie podobny festyn.

Na wezwanie takie, zjechały się wszystkie okoliczne piękności. Rzadko kiedy można zobaczyć zgromadzonych tyle pięknych, eleganckich kobiet i mężczyzn! Jakżeż silnie były wszystkich serca! Największa część przyjaciół hrabiego, odznaczała się wytwornym obejściem. Prawie wszyscy znali się wybornie na wszystkich środkach podbijania serc kobiecych, sposobem najłatwiejszym, to jest pochlebnymi słówkami, niemającymi w rzeczy samej żadnej wartości. Ja jeden cudzoziemiec nie znałem tych środków, zresztą cały mój ustrój, w którym oddawna przebiegała się melancholija, mało odpowiadał wesołości i giętkości manier moich towarzyszków. Zadowolniłem się przetańczeniem dwóch kontredansów z jedną z tych biednych skro-

mnych i łekliwych istot, na które wcale nie zwracano uwagi, a które się jednakże znajdują w każdym towarzystwie, czy to u nas w Polsce, czy w Anglii, Francyi, a nawet w Portugalii. Między tańczącymi pannami, jedna, młoda i piękna osoba zwracała ogólną uwagę. Przewana Fijolką Bragancyi, dla podobieństwa wyjawiającego się w skromnym ułożeniu i charakterze, była ciągle otoczona tłumem wielbicieli. Oczy miała tak silnego niebieskiego koloru, jak i ten kwiat w chwili kwitnienia: oczy te duże, podługne, pełne ognia i słodyczy, miały szczególny wyraz czucia i zapędu, które rozlewały się na całą twarz regularnych, cokolwiek śniadych, prawie zimnych rysów. Sprzeczność ta fizjonomii południowej z spojrzeniem malującym tyle łagodności duszy, dodawała jej jeszcze większego uroku; zdawało się, że odrazu można w niej czytać, głębokie uczucie, słabość i siłę. Po pięknym czole widać się naturalne pierścienie kruczoczarnych włosów, które spływały na prześliczne ramiona, a w zgrabnych ruchach przebiegała się szlachetność, duma i delikatność.

Wszyscy młodzi ludzie, prócz hrabiego La-

wradio, zachwyceni wdziękami téj młodéj osoby, ubiegali się z okazaniem jéj swego uwielbienia. Młody kapitan gwardyi, bardzo bogaty, odznaczający się pięknym wzrostem, zdawał się odbierać pierwszeństwo od młodéj Inezy za swe zabiegi, przed innemi. Po nim najwięcej zajęty był nią młody człowiek do znakomitéj należący familii, który się poświęcił dyplomacyi. Gdy się uśmiechnęła do jednego, zaraz drugi zmarszczył na to brwi, jeżeli znów z większą uwagą posłuchała rozmowy kapitana, to wnet na twarzy rywala, którego nazwę Rowetro, widać było największe nieukontentowanie.

Kapitan Siendemonios podał rękę pięknej Inezy z którą zamierzał tańczyć pierwszego kontredansa. Rowetro, zatrzymał go mówiąc:

— Kapitanie! mam przyrzeczenie. Pani! — rzekł dalej, zwracając się do Inezy: — wszak prosiłem poprzednio?

Na twarz Inezy wystąpiły silne rumieńce; przewidywała zajście.

— Prawda! — powiedziała — pamiętam, że panu Rowetro przyrzekła; gdybym mogła, tań-

czyłabym z obydwoma panami. Kapitanie! nie będziesz więc wymagał, nieprawdaż?

I błagająco spojrziała na niego, jakby żądając względu dla pochmurnego rywala.

Kapitan oddalił się, rzuciwszy przytém na Rowetra spojrzenie pełne obrazy.

Znałem nieugiętą dumę jednego i drugiego. Rowetro tańcząc z Inezą, ani na chwilę nie spuszczał z oka kapitana tajemniczo milczącego.

W zabiegach jego nadzwyczajnych przebiegała się jakaś niespokojność i gniew tłumiony.

W trzy dni potém, hrabia Lawradio sprosił na obiad znaczną część tych, którzy byli na owym balu. Rowetro i kapitan byli także w ich liczbie; postanowiłem przeto obserwować obu dwóch. Kapitan przybył piérwszy, i usiadł w oknie. Rowetro zsiadłszy z konia wszedł niezadługo; na jego widok kapitan zbladł, drgnął, ścisnął pięści i z niespokojnością opuściwszy zajmowane miejsce, stanął w głębi sali, wprost drzwi wchodowych. Rywale powitali się milcząco, grzecznie, ale z uderzającą obojętnością.

Dwadzieścia osób zasiadło do stołu przepysznie zastawionego; dobre wina dodawały hu-

moru, dowcip stawał się ogólnym i wszystko zapowiadało jak najprzyjemniejszą zabawę. Kapitan i Rowetro siedzieli zdala jeden od drugiego, i zdawało się, że zapomnieli o rywalizacji. O ósmej podano desert i kosze pełne win Porto, Madery i Szampana, a przed każdym postawiono kilka kieliszków. Młodzi ludzie spełniali najrozmaitsze toasty, a służący napelniali ciągle kielichy. Nigdy nie był świadkiem tak rzeźwój pijatyki w krajach południowych. W tém gospodarz powstał, i wznosząc w górę puhar, który napelniał pieniaący się szampan, zawołał:

— „Kochani towarzysze i przyjaciele! napelnijcie swe puhary. Wniośę zdrowie, które z radością spełnicie. Wypijemy zdrowie pięknej Inezy, Fijołka Braganzy. Wzywam was do odpowiedzi na mój toast.

Ogólne okrzyki odpowiedziały na wniesione zdrowie. Kapitan i Rowetro powtórzyli je z zapalem. Ręka kapitana zatrzęsa się, gdy zbliżał szklankę do ust.

— Ale któryż z panów, — zawołał jeden z gości, — odpowieć za nią i podziękuje w imieniu pięknej Inezy?

— Parbleu! odpowiedział drugi,— a któzby, jeżeli nie wybrany przez nią na balu, Rowetro.

— Dalej Rowetro wstawaj! Po co tyle skromności? Takeś ją oblegał przez cały wieczór, że niepodobna było z nią tańczyć, nawet nie było czasu z nią mówić.

— Myślę, — wtracił hrabia Lawradio, — że i kapitan ma do niej równie dobre prawa.—Prócz uśmiechu widziałem wyraźne pierwszeństwo, mające pewne znaczenie, które piękna Inez dawała kapitanowi. Rowetro i jego rywał, zarówno zmieszani, milczeli. Kapitan gwałtownie ścisnął szklankę, którą trzymał w ręku. Goście rozmarzeni winem, zaczęli brać stronę, jedni kapitana, drudzy dyplomaty, którzy obadwaj nie przemówili ani słowa przez cały czas, kiedy rozprawiano o ich pierwszeństwach, z taką gwałtownością i zapalem, jakby szło o ocalenie kraju. Co chwila kapitan ciskał na Rowetra gniewne spojrzenia.

Księżę Pallucella, widząc rozognione twarze dwóch młodzieńców, i przewidując skutki tego zajścia, starał się złagodzić powiększający się gniew dwóch rywali.

— Mnie się zdaje,— zawołał— a nawet postawię dwadzieścia przeciw jednemu, że serce młodej Inezy dotąd się waha jeszcze. Cóż mamy lepszego zrobić? Oto, zdajmy wszystko na los, krzyż albo cyfra! Niech Rowetro i kapitan rozgrają się, kto wygra otrzyma tytuł kawalera Inezy.

Wszyscy śmieli się głośno, prócz rywali, których czoła nie rozchmurzyły się ani na chwilę. Kapitan był blady, wzrok utkwiał w trunku, którego pełną szklankę trzymał w ręku, popijał go po trochu, starał się okazać obojętnym i spokojnym, ale wzruszenie zdradzało mimo woli. Rowetro, starszy i więcéj panujący nad sobą, był niewzruszony, zakłopotanie zaledwie można było w nim dostrzedz. W téj niespodziewanej chwili najgwałtowniejsze uczucie zawiści, jakie mogą się wyroić w sercach portugalskich powstały i rozhukaly się.

— Kapitanie,— rzekłem z cicha do sąsiada,— w istocie sądziłem, że zaszczyt ten, którego ci tak uparcie zaprzeczają, słusznie należy się tobie; przecież widziałem, jak się rumieniła z dumy i radości kiedyś jéj holdy składał.

Usiłował się na to roześmiać.

— Masz pan słuszność, — odpowiedział: — Rowetro nie ma żadnego prawa do tytułu, który mu chcą nadać.

— Przynajmniej tak mi się zdaje.

Ponure wejście mówiącego, ścięło lodem wszystkich obecnych.

— Przyjaciele! — zawołał wtedy swobodnie Rowetro, — zdaje mi się że za wiele o tak małą rzecz narobiono hałasu, lecz w takim położeniu, w pośród téj sprzeczki, zmuszony jestem szczerze objawić swoje zdanie; a nikt tutaj, jak sądzę, nie ma prawa zaprzeczać mi pierwszeństwa, które sobie zdobyłem. I ten rycerz, który jest moim rywalem, co także same słowa wymówił z przyciskiem, zmuszony będzie wyznać, że piękna Ineza, włożyła na mnie tytuł i obowiązki, o które się dobijam. Wprawdzie dzielny kapitan, ma dumną minę, spojrzenie ogniste, głos nader uroczy, ale...

— Nie tak śmiało! i zuchwale panie Rowetro! — zawołał, czerwieniąc się z gniewu kapitan.

— Zuchwale! do djabła! cóż to ma znaczyć,

czy się chcesz ze mną kłócić kapitanie? Nie sądzę. Być może, żem powiedział co nieprzyjemnego dla ciebie, żałuję tego mocno, bom nie miał tego zamiaru. Na honor! byłoby mi to przykro. Co się tycze naszej piękności, o której mówimy, pozwólcie panowie, bym miał prawo odpowiedzenia za nią. Tak kapitanie, ośmielę się odezwać w imieniu méj pięknej tancerki, i podziękować za nią towarzystwu, które wypilo jój zdrowie. — W czasie téj rozmowy Rowetro, z ręcznie połączył wesolość z dowcipem i grzecznością; spodziewałem się, że się kapitan uspokoi, ale on zamiast pójść za przykładem swego przeciwnika, zawołał głosem drżącym z gniewu:

— Mylisz się Rowetro! słowo honoru mylisz się! Czyż możesz wiedzieć, jaką odpowiedź dała mi Ineza, i jakie są jój skryte uczucia? Czy nie wiesz, że nie przyjmowała twych grzeczności z przyjemnością.

— Ale skąd? Nazajutrz rano widziałem się z Inezą i mogę cię zapewnić...

— Nazajutrz! widziałeś ją, nazajutrz! a to z jakiej przyczyny?

— Nie widzę obowiązku tłumaczenia się panu ze swego postępowania. Wolno mi jest, — mówił dalej, — wychylając szklankę wina, która odebrała mu resztę przytomności i pamięci, — wolno mi jest starać się o Inezę; tém gorzej dla tych, co w tém chcą czegoś złego dopatrzeć.

Zaognity mu się policzki, i głos się przerywał; próżno przyjaciele chcieli go powstrzymać. Chwiejąc się wstał, i widocznie rozmarzony winem, zawołał:

— Ineza przyjęła moje oświadczenie, nawzajem odebrałem jój wyznanie, oświadczam to kapitanie ażeby nadal odjąć ci wszelką ochotę do sprzeczeki.

Zaszemrano powszechnie na Rowetra, którego jedynie stan obecny mógł usprawiedliwić.

— Rowetro! — zawołał przeciwnik, — postępujesz niktzemnie i nieuczciwie!

Potém rzekł z żalem i dobitnie :

— Nie mogę dłużej wytrzymać w żaden sposób.... Chcesz zgubić osobę niewinną i słabą, a ja, który z oburzeniem słuchałem twój mowy,.... oświadczam z swój strony w obec wszy-

stkich zebranych tu przyjaciół, że jesteś... slyszysz, co mówię... że jesteś *podłym*!

Ostatni wyraz wymówił z przyciskiem i zwolna, głębokie milczenie panowało w salonie.

— *Podły!*—odezwał się Rowetro, który nagle spowaźniał i pobladł. — Zazucasz mi nizekzemność, i nazywasz *mnie* podłym?

I wstając jak automat ze szklanką w rękę, powtórzył kilka razy:—Dalibóg podły, to trupem pachnie.

— Potwierdzam to, — odpowiedział kapitan głosem pewnym.

— A nie wiadomo ci, że musisz mi z tego zdać rachunek!

Kapitan rozparł się w krześle i patrząc spokojnie na Rowetra; powiedział:

— Nigdy nie mówię nic, czego bym się później mógł wstydzić lub z czego miałbym się usprawiedliwiać, nie spodziewaj się tego ode mnie.

— A więc nie spodziewaj się także ode mnie,—zawołał Rowetro, cisnąwszy mu szklankę w oczy, — żebym ci się z tego tłómaczył.

Szklanka stłukła się o twarz kapitana, którą

skaleczyła i zakrwawiła. Wszyscy zerwali się z miejsc krzyżąc, biegali na wszystkie strony sprzecząc się między sobą. Tylko dwaj przeciwnicy stali spokojnie wśród tego zamieszania. Kapitan ocierał wino z munduru.

Rowetro nieporuszony z założonemi rękoma stał ciągle w jednej postawie; wkrótce jego przeciwnik zbliżywszy się do gospodarza, rzekł z cicha :

— Kochany hrabio! masz tu pistolety? za chwilę skończymy tę małą sprzeczkę, przyjaciel mój Verdahao, zajmie się tą sprawą.

— Uspokój się kapitanie, — odpowiedział hrabia zmieszany, — prawisz od rzeczy, chcesz w moim domu popelnić zabójstwo, z powodu kłótni wszczętój przy obiedzie. Co za głupstwo! Pogódźcie się lepiej, podajcie sobie ręce i bądźcie przyjaciółmi, daliście już dosyć dowodów, że jesteście ludźmi honoru. Trochę zastanowienia, a wszystko będzie dobrze.

— Wiadomo ci dobrze — odpowiedział kapitan, — że to jest niepodobieństwem. Poruczniku Verdahaø zrób mi przysługę i przynieś pistolety, znajdziesz je w gabinecie gospodarza.

Ale — mówił dalej — czybyśmy nie mogli przejść do zbrojowni, to byłoby najwłaściwiej.

Kapitan, który w życiu nieraz był w podobnym wypadku, mówił o nim z krwią zimną.

Kilku roztrzępionych znajdujących się w salonie, podpici nie źle, zaczęło wolać:

— A więc trzeba to skończyć; podobna sprawa natychmiast załatwioną być powinna. Pistoletów! pistoletów!

Kuzyn hrabiego de Lawradio, człowiek młody i nadzwyczaj prędki, krzyczał także:

— Muszą się bić koniecznie! nie ma innej rady! Shańbiliby się gdyby się nie pojedynkowali.

— Przeklęta dziewczyna, o którą ci dwaj ludzie będą się u mnie zabijali, — zawołał hrabia Lawradio, — i przeklęta chwila, w której się wszczęła ta kłótnia! Kochany Rowetro, — rzekł przysuwając się do grona, które go otaczało, — proszę cię i błagam jak o łaskę, opuść mój dom, żeby nie mówili, iż zabójstwo spełniono u mnie na uczcie przyjacielskiej. To musi nastąpić, chodź ze mną Rowetro. Wziął go pod rękę i poprowadził ku kapitanowi.

— Daruj— odpowiedział Rowetro, — usiłowania twe są próżne; tylko walką może się to skończyć; im prędzej więc tém lepiej. Przyjaciół mój baron Albufera będzie moim sekundantem, dalej więc baronie, — rzekł obracając się do zupełnie młodego człowieka, — bądź łaskaw zająć się wszystkim, czém prędzej tém lepiej. Porucznik Verdahaô czeka, proszę cię idź do niego.

Jeden z obecnych zbliżył się do Rowetra, uprzedzając go, że kapitan strzela nadzwyczaj wprawnie, i że w odległości dziesięciu sążni trafia w kruzadę.

— Doprawdy! — zawołał Rowetro obojętnie, — muszę więc napisać testament, wzrok mam nadzwyczaj krótki, widzę więc jak się rzecz skończy.

Opuściwszy przyjaciół, udał się do kapitana, który żywo rozmawiał w rogu pokoju z kilkoma oficerami. Rowetro podał mu rękę. Kapitan zmarszczywszy czoło, nieporuszony milcząc, odwrócił się.

— Kapitanie! — rzekł Rowetro, — mówią że

każdy człowiek z którym się strzelałeś nie unikł śmierci.

— Więc cóż?

— Wiesz zapewne, że mam wzrok krótki, że źle celuję i źle strzelam z pistoletów.

Lekki szmer przebiegł po zgromadzeniu.

— Co to jest? — szepnął mój sąsiad, — Rowetro cofa się? wykręca się? to mię dziwi! Kapitan w którego twarzy malowało się niezmysłowe zadziwienie, parę chwil milczał; w końcu zawołał:

— Więc cóż chcesz zrobić?

— Zaraz się dowiesz. Byłoby niesprawiedliwością, gdybyśmy użyli tak nierównych broni. Sądziś więc, że ja chętnie i spokojnie będę stał czekając twojej kuli, bez nadziei oddania ci wet za wet? O nie mój panie! Chciałeś, żebyśmy się bili; niedorzeczność twoja jest powodem pojedynku, wywołałeś go dobrowolnie, przyznaję, że to jest sprawa zarówno okropna, jak i śmieszna, nawet musisz ją przypisać same-mu sobie. Będziemy się bili, twarz w twarz, pierś do piersi, pistolet przy pistolecie, lufa o lufę na poprzek stołu. Tak pauowie! — tu głos

jego podniósł się, — padniemy razem, zginiemy razem, pójdziemy razem do djabła, i skończymy wszystko.

— To okropność, to niegodnie, to piekielnie! wolano ze wszystkich stron. Nie będziemy się przypatrywali tak zawziętej walce, nawet słyszeć o niej nie chcemy, to rzeź a nie pojedynek.

Kilka osób wybiegło z pokoju, kapitan nie mówił, radził się przyjaciół, ażebym postanowili jak najrozsądniej powinien sobie postąpić.

— A teraz, kto z nas podły? — zawołał Rowetro.

— Dowiesz się zaraz. Twoje warunki są dzikie, chcesz zbrodni i to podwójnej, będziesz ją miał, a przekleństwo, które ściga zabójców niech spadnie na ciebie. Dwie rodziny wyrzucić ci będą śmierć jedynaków. Przyjmuję pojedynek.

Twarz kapitana zsiniała, lecz nie zawahał się weale.

— Czy broń już gotowa? — zapytał Rowetro nie zważając na kapitana.

Już dwaj sekundanci poszli wszystko przyrządzić. Zgodzono się na pojedynek w strzelni-

cy, w tyle zwierzyńce, zdaleka od pomieszkania. Napróżno widzowie starali się dać im do zrozumienia, jak dalece podobny pojedynek był dziki i barbarzyński. Dwóch nawet wyjechało konno, żeby uwiadomić policyjną. Hrabia de Lawradio przybył na miejsce walki i uprzedził sekundantów o postanowieniu Rowetra i kapitana. Obadwaj z oburzeniem odrzucili na w pół nabite pistolety, wołając, że nie chcą się mieszać więcej w sprawę tak niegodną ludzi honoru, a która przytém w oczach ich była podwójnem zabójstwem. Tymczasem hrabia zrobił propozycją którą przyjęli z radością; nabili prochem oba pistolety zgodziwszy się, że je oddadzą przeciwnikom niby jako ostro nabite. Postawiono na stole dwie świece, a Rowetro i kapitan weszli jednocześnie. Widać było jak niecierpliwie oczekiwali stanowczej chwili.

— Masz pan przy sobie, — spytał mnie jeden z obecnych, — potrzebne instrumenta i bandażę?

— Byle nam tylko broń wypaliła, — rzekł Rowetro, — obejdziemy się bez tego wszystkiego.

Jak zwykle w nieprzewidzianych okolicznościach, brakło mi najpotrzebniejszych rzeczy. Wy-

słałem przeto konno po takowe do mieszkającego w sąsiedztwie chirurga. Piętnastu ludzi białych otaczało stół oczekując rezultatu.

— Gotów jesteś panie Rowetro? — zapytał jakiś przyjaciel kapitana.

— Gotów panie!

Przeciwnicy stanęli na przeciw siebie,—z uwagą śledziłem ich ruchy. Muskły ich były wyprężone, twarze blade, oczy nieruchome z wyrazem silnego postanowienia, czoła spokojne, a brwi nachmurzone.

— Prosimy o znak, — rzekł kapitan po cichu, — w podobnych pojedynkach uprzedzający choć sekundą swego przeciwnika, jest prostym zabójcą.

W téj chwili przybył chirurg. — Dasz znak tym panom, — powiedziano do niego. On zakrył oczy rękami, tak był przestraszonym.

— Dalej!—zawołał Rowetro, na co czekasz?

Potém ścisnęli ręce przyjaciół żegnając się, a chirurg zamknawszy oczy postąpił naprzód, i drżącym głosem zawołał:

— Pistolety w górę!

Lufy obiedwie prawie się oparły o piersi przeciwników.

— Jak powiem trzy, niech panowie strzelają. Raz... dwa.. trzy...!

Wstrząśnienie odepchnęło ich na cztery kroki; przyjaciele rzucili się ku nim.

— A to co?—zawołali jednocześnie, kto sobie tak z nas pozwolił żartować? Co za zuchwalec bawi się z nami jak z dziećmi. Te pistolety nie były nabite!

Hrabia Lawradio i sekundanci wytłómaczyli im podejście, które nie przyniosło pożądanego skutku. Napróżno im wystawiano, że dosyć już okazali odwagi, że plama już zmyta, i że powinni się pogodzić. Rowetro ścisnąwszy zęby krzyczał:

— Nie! nie! to być nie może!!

— Łatwy sposób—odpowiedział kapitan.— oto dwa równej długości pugiwały wiszą na ścianie. Wybieraj! To nasz poczciwy pojedynek portugalski, nie bój się, jeden z nas paść musi.

Rowetro gwałtownie pochwycił za jeden.

— Już nas nie zwiodą więcej! zastawiaj się!!

Zemsta i wściekła żądza krwi, błyszczala w ich oczach. Staliśmy zdaleka, przejęci okropnością, sztylety błyszczaly, zaledwie oczy dojrzeć mogly ich razów. Trudno byłoby powiedzieć, kto był zręczniejszy, tak dalece zagrzewala ich wściekłość i przyspieszala razy. Wreszcie padł jeden, był to kapitan; sztylet na wskrós przeszył mu serce, wsparł się na lokciu i zawoławszy tylko:—Boże!— zamknął oczy. Rowetro ukląkł obok przeciwnika, i najuroczystszym rzekł głosem:

— Duszo! twoje grzechy przyjmuję za swoje, i pokutować będę za nie w klasztorze aż do odpuszczenia.

Potém wstał, i obróciwszy się do nas struchlałych rzekł:

— A cóż stoicie jak skamieniali? Trzeba go pochować i od wszystkich obecnych odebrać przysięgę na Ewangeliją i na sztylet, że mię nie zdradzą. Ja sam udaję się do matki nieboszczyka wyznać wszystko, i wyjednać sobie przebaczenie. Darmo, stało się. Bóg tak chciał.

I kazawszy się opatrzeć, bo i on miał z dzieć się mniej więcej głębokich, ale nie ciężkich

ran, wsiadł do powozu i pojechał do matki zabitego przez siebie kapitana.

Potém zniknął gdzieś i nie było go widać całe dwa lata; znów się zjawił nareszcie blady, ale najzupełniej spokojny, pogodzony z Bogiem, i ożenił się z piękną Inezą, Fijolkiem Bragancyi.

Oto wyobrażenia jakie do dziś dnia mają Portugalczycy o miłości, honorze i religii.

ROZDZIAŁ III.

Okulista.

Bawimy w Lizbonie już od kwartału, i nie będziemy opisywali uroków tego miasta porównanego do Neapolu i do Konstantynopola, bo z tego milego obowiązku już dawno wywiązał się czytelnikowi w inném dziele.

Więc jesteśmy w kraju pomarańcz, pugnalów i processyj, i znaleźliśmy w nim to, czego głównie w każdym kraju szukamy: *ludzi*, najmilsze istoty jakie Pan Bóg wymyślał i stworzył. Tak, ludzi szukamy przede wszystkim, bo ludzie są to bracia nasi, bez których raj wydawałby się pustynią; bo człowiek jest moim po-

lem, na którym sprawdzam skuteczność sił natury, badanych przezemnie z takim mozolem na ławkach szkolnych, uniwersyteckich i wszędzie gdzie się tylko znajdowałem, na lądzie i na morzu, w dzień i w nocy.

Człowiecze! nader miły przedniocie studyjów moich! wiesz ty, że dla poznania ciebie nie lękałem się zstępować w owe przybytki szczerój ale zbyt rozkiełznanój radości, *knajpami* zwane? wiesz ty synu ziemi! że dla poznania ciebie, miałem nawet odwagę wstąpić na owe dostojne pola nudów i obłudy, zwane salonami arystokracji? Wszystko zrobiłem dla poznania ciebie z gruntu jakim jesteś, i jakim być możesz, nie lękałem się bólu głowy, obmowy, kosztów na żółte rękawiczki i na ciasne lakierowane buty; a ty jak mi się wywdzięczyłeś za to, lubo z pewną przyjemnością przeczytałeś spisane wyniki moich spostrzeżeń; otóż jak mi się wywdzięczyłeś? obmówiłeś mnie, posądzając raz o natchnienia gminne; drugi raz o dążności arystokratyczne, a nawet mnie obmawiałeś nie posądzając mnie o nic, prosto tylko, aby dogodzić

przyrodzonej ci potrzebie bawienia się kosztem cudzej sławy.

Ale ci wybaczam człowiecze, bliźni mój, przedmiocie najulubieńszych badań moich; a dla tego ci wybaczam najwięcej, żeś mnie nigdy nie obmówił w oczy, tylko zawsze za oczyma, kiedy mnie nie było w miejscu; żeś anonimem lub silnemi protektorami zastawiał się, gdyś w piśmie mnie szarpał, także najczęściej kiedy mnie nie było, lub kiedy odpowiedzieć nie mógł żadnym sposobem.

Najszczerzej wam wybaczam o ludzie! bo nie chcę być współnikiem złości waszej i truć siebie samego, nie chcę pozbawiać się miłej nadziei, że jeszcze długo pozostanę między wami, i jeśli Bóg da zdrowie przekonam was, że można zmienić zdanie nienawistne na przychylne, że można chrześcijańskim sercem pokochać to, co się wprzódki prześladowało.

* * *

A więc znalazłem i tu ludzi w kraju Luzytańskim, ludzi nie wiele różniących się od nas, tylko więcej żółtych, do gniewliwości skłonnych,

mniej gościnnych, mniej serdecznych, a zwłaszcza przy kieliszku, mniej otwartych.

A jednak jest jakaś różnica pomiędzy narodami, nawet zdaje mi się większa, niżeli zachodzi pomiędzy językami, któremi przemawiają; bo czemuż Portugalczyk nie lubi Hiszpana; Norwegczyk Szweda, a dopiero Neapolitańczyk Sardynczyka, a dopiero, dopiero Niemiec południowy Niemca północnego?

Oh! Boże! czemuż dopuściłeś że tyle jest rozlanych żywiołów nienawiści pomiędzy rodem stworzonym na obraz i podobieństwo Twoje? pomiędzy dziećmi jednej pary w raju urodzonej, wychowanej i żadnym trudem życia, żadną troską nie zgnębioną?

W chwilach szczęśliwych istnienia mojego, ja widzę że nienawiść jest jedyną klątwą, spadłą na rodzaj ludzki, targającą jego życie i szczęście; i w tych uroczystych chwilach, ja pojmuję, że chrzest duszy jest wybaczeniem, odrodzeniem, miłości Boskiej objawem, miłości ludzkiej zwiastunem.

Ale łatwiej chrzcic ciało jak duszę!

Wody Jordanu miały tę skuteczność, że

z człowieka przewidującego męczarnie, których dozna ze strony swych bliźnich, wyrugowały wszelką nienawiść; oh! czemuż wszystkie rzeki nie płyną Jordanie twými wodami? i czemuż dzisiaj woda z twego sprowadzona koryta nie jest jeszcze rękojmią zapomnienia, wybaczenia, miłości i spokoju?

* * *

Rób dobrze, i szczęście twoje opieraj na wdzięczności, nie mogącój cię minąć za tve dobre uczynki!

Nie! to jeszcze nie dosyć. Nie licz na wdzięczność doczesną, nie lądź się błogą nadzieją, że już na tym świecie zapłacony będziesz do grosza i do feniga za twoje szlachetne zapłaty i za dobre tve poświęcenia, jałmużny i prace.

Bóg jeden zna siłę ducha wlałego w ciebie; Bóg jeden wie ile wydołać jesteś w stanie na tym padole próby, gdy cię spotkają przeciwności losu i własnych złych pociągów nagabywania. Bóg jeden zsyła ci szczęście i nieszczęście; szczęście na to, żeby cię kusiło, nieszczęście na to, żeby cię do oddziaływania duchem twoim

powoływało. On jeden sądzić cię będzie, bez pomocy oskarżyciela i adwokata, Swoją całą mądrością, Swoją całą miłością. Jego mądrość przeniknęła wszystko dobre i złe, co od stworzenia świata odziedziczyłeś przez krew ojców; Jego mądrość, wyśledziła w tobie wszystko dobre i złe, coś wyrobił sam w sobie, z własnej woli lub winy, przypadkowo lub swawolnie.

* * *

Otóż nikt się nie powinien łudzić nadzieją nagrody, ani też nikt nie powinien myśleć, że za najlepsze chęci i usługi może uniknąć niewdzięczności. Nawet lekarz, zdrowio i życiodawca często jest wystawiony na najczarniejszą niewdzięczność ze strony tych którym wrócił zdrowie. Już w Niemczech, nawet w poczciwym Królewcu, widziałem lekarza postrzelonego w pojedynku, przez dawnego pacjenta, którego wyleczył niesłychanym mozołem z tyfusa a w Paryżu zdarzyło się, że jeden lord angielski oskarżył, pozbawił wolności, sławy i dyplomu pewnego lekarza za to, że mu za nadto dobrze wyleczył żonę już oddawna chorą i od lekarzy opuszczoną.

A tu w Lizbonie, w kilka tygodni po poznanu się z doktorem Hamilton, sławnym na świat cały okulistą, jeszcze gorzej się przytrafiło temu zacnemu mężowi; pchnięty został puginalem przez Portugalkę, której wyleczył męża ze ślepoty, już od jedenastu lat trwającój; i jeszcze nie jest pewną rzeczą, czy biędny Hamilton nie przypłaci życiem usługi oddanej najzupełniej bezinteresownie swojemu bliźniemu.

Szczegóły tego okrutnego dramatu, są nie tylko bardzo zajmujące, lecz także nauczyć mogą ostrożności lekarzy folgujących zanadto żywo szlachetnym natchnieniom serca swojego; opowiem je tedy nie tylko dla zabawy naszych czytelników, lecz także dla dobra kolegów.

* * *

Doktor Hamilton wsławił się jako okulista, najwięcej w Egipcie, gdzie przez lat kilka sprawował obowiązki jednego z głównych lekarzy armii Mehmeda-Alego, i gdzie zdobył sobie sławę, majątek a nawet tytuł Beya, lubo jako prawowierny zwolennik anglikańskiego kościoła, nie chciał, *dla ułatwienia sobie stosunków wy-*

rzec się tak niby *pro-forma* chrystyjanizmu. Jakoś inaczej pod tym względem rozumują protestanci, i nie widać nigdzie zbisurmanionych ewangelików. Za to brzegi Tybru hojnie dostarczają reneгатów.

Wraca tedy do Anglii z głośném już nazwiskiem, aby w własnej ojczyźnie dalej prowadzić pełne zasługi dzieło uzdrowienia oczu i wracania bliźniemu drogiego zmysłu *wzroku*, lecz w przejeździe przez Lizbonę, zatrzymuje go królowa Maryja da Gloria, i prosi o pomoc dla swego infanta Don-Pedra, który wówczas był dzieckiem, a dzisiaj już jest młodzienaszkiem i królem.

Portugalski infant chorował od urodzenia na zapalenie ocz skrofalicznej przyrody, na takżeż same, w skutek którego terażniejszy król Hannoveru stracił wzrok; a troskliwa matka obawiając się podobnego końca, uciekła się do rady najświatlejszych okulistów, ale dotąd zawsze płonnie.

Doktor Hamilton podjął się trudnego dzieła, i zaraz został zgodzonym na sześć tygodni za ogromną cenę, i mieszkanie objął na ten czas

w królewskim pałacu Necessidades w parterowych pokojach, wychodzących na owe cudne ogrody, założone przez Le Notra. Tutaj udzielał się wszystkim, którzy jego rady zasięgali, bogatym i biednym, i dość dziwnie to wyglądało, że pałac dumnych królów Portugalii przemieniony został w instytut Oftalmiczny. Ale nie śmiano się opierać woli ludzkiego doktora, który wiedział, że jego czas i zdolności należą do całego świata, i nie mogą być zakupione przez jedną osobę.

Ale zresztą nie odstępował dostojnego pacjenta swojego; jednakże coś już w trzecim tygodniu kuracyi, pacjent tak wielką znalazł ulgę, że się doktor mógł oddalać na godzin kilka, a potem nawet na pół dnia i na dzień od zamku Necessidades.

W jednej ze swych wycieczek, w Castelbranco, nasz okulista poznał ślepego skrzypka, z bardzo piękną szlachetną twarzą, który przy pomocy dziesięcioletniego syna swego na gitarze grającego, dawał koncert w kawiarni, przed sześćdziesięcią kilką słuchaczami, z których każdy był zachwycony grą koncertanta po nad je-

go zasługi, bo wielkiego talentu dowodów skrzypek nie dawał. Potém chłopaczek chodził z tacą w rękę do słuchaczów, a ci rzucali mu po całej kruzadzie, rzadko kto mniej a czasem i więcej.

— Ten człowiek musi tu być bardzo popularnym, kiedy umie u skąpych Portugalczyków takie objawy wspaniałomyślności wzniecać?— rzecze doktor Hamilton do swojego tłómacza.

— Nie myli się pan, tym człowiekiem jest Jan Fragorio, który niegdyś, przed utratą wzroku był najgenijalniejszym malarzem Portugalii; on jeden umiał dźwignąć oddawna zatraconą sławę malarstwa Luzytańskiego, i byłby może zaszedł tak daleko jak najpierwsi tegocześni mistrze, gdyby mu zapalenie nie było wydarło oczu. Musiał pan przecie słyszeć o Janie Fragorio, którego utwory nie jeden zdoła w Lizbonie kościół, i nie jedną galeriją obrazów.

— Słyszałem, istotnie, nawet w pałacu Necessidades widziałem jego niepospolitego pełnego genialności pędzla utwory, — rzecze doktor Hamilton rzucając moidor złoty na tacę którą mu przedstawił syn, mały gitarzysta.

-- To jest najstarszy syn nieszczęsnego Jana Fragorio; siedmioro ma dzieci, i żywi ich tym mozolnym sposobem, grą na skrzypcach, której się nauczył dopiero po ociemnieniu, — rzeźce dalej tłómacz do doktora.

Okulista przystąpił do artysty i w milczeniu wpatrywał się w jego oczy. Im dłużej się w nie wpatruje, tym piękniejszy wyraz błyska na jego twarzy, aż nareszcie rzeknie do swego tłómacza po francusku :

— Na Boga! tę ślepotę można wyleczyć, nerwy zdrowe w tych oczach, tylko soczewki zasłonięte, źrenice zaś ściągnięte, zrosłe w skutek zapalenia. Tu trzeba wykonać operacyją katarakty i sztucznej pupilli; jakto? nikt się tu w kraju nie poznał na tém, że temu człowiekowi można przywrócić drogi zmysł wzroku?

— Kto to mówi? co on mówi? czy do mnie mówi? — krzyknie ślepy artysta po francusku zrywając się na równe nogi.

— Ach! możemy się porozumieć bez tłómacza, tém lepiej,—rzeźce okulista.—Ja mówię do ciebie panie Janie Fragorio, ja doktor Hamilton okulista, bawiący teraz w Lizbonie w pałacu

królowej; jakto? nie slyszales pan o mnie, o doktorze Hamilton?

— Slyszalem, slyszalem, ale mnie zapewnili najslawniejsi lekarze w Rio-Janeiro, w Oporto, w Koimbrze i w Lizbonie ze dla mnie nie ma ratunku, ze oczy moje popsute na zawsze; zreszta tyle lat, zważ pan, ze od lat dwunastu jestem niewidomy, zem stracil wzrok w skutek bardzo bolesnego zapalenia.

— Jest dla ciebie ratunek jak mi Bóg i honor mily, — rzecze uroczystym głosem okulista. — Od tego czasu postapila nauka i sztuka, i to co kiedyś nie bylo mozebnem, to jest dzisiaj możliwem; odpowiadać za przywrócenie ci wzroku nie moge, wyrok Boga moze zniszczyć najbieglejszych ludzi dzieła, ale takim oczom jak twoje przywróciłem wzrok już więcej jak pięćdziesiąt razy.

— Panie Boże zmiluj się, — krzyknie artysta, i strumienie łez puścily się z oczu jego. — Jabym miał jeszcze oglądać Twego nieba błękit, Twoich pól zieloność, i milych kwiatów świetne barwy? Jabym miał oglądać dzieci moje jeszcze nigdy niewidziane, i żony mojej najpiękniejszej,

najlepszej kobiety w świecie, której nie znam jako mężatkę, miałbym podziwiać wdzięki? Fernando! Fernando! chodź tu mój chłopcze, powiedz mi jak wygląda ten pan, ten doktor?

— Papo, on wygląda mądrze, poczciwie i szlachetnie; mnie mówi serce, że jemu zawieżyć można, — odpowiada dziecko ze łzami w oczach i doda: — Papo! on wrzucił całego mojdora do tacki, całego mojdora, tyle jeszcze żaden nigdy nie dał.

— Panie! podaj mi rękę swoją, — rzecze niewidomy artysta.

— Oto ją masz, i przytém serdeczne uściśnięcie, — rzecze doktor, sam rozrzewniony podając artyście rękę.

— Ach to dobra, szlachetna ręka! miło ją uściśnąć, miło do serca przytulić; jakiś przyjazny prąd magnetyczny idzie od ciebie panie mój do mnie, i przeświadcza mnie, że ty jesteś tutaj przez Boga wysłanym, abyś mój zaklęty talent wydobył z pod więzów ślepoty. Ach panie! ale wspomnij jaką na się wzięłaś odpowiedzialność, tyle wznicieleś we mnie biédaku nadziei, potrafisz ty dotrzymać obietnicy? Widzisz! śmierć

jest niczém, niczém w porównaniu z okrutnym zawodem, jakiegobym doznał, gdyby się nie udała operacyja.

— Pojmuję to, mój nieszczęsny przyjacielu, lecz i ja jestem chrześcijaninem, dobrym, w bo-leściach i w walkach wyprobowanym chrześcijaninem, i nie chciałbym cię wystawić na okropność zawodu. Jestem pewien siebie, o ile tylko człowiek może być pewnym siebie. Bóg jedynie kieruje losami człowieka.

— Ty mnie przeświadczasz o wielki człowieku; balsam płynie z mowy twojej i duszę moję krzepi, otwiera mi ogrom nadziei i rokoszy. Ale jeszcze jedna zawada: — Panie! ja jestem ubogim, tym nieudolnym w rękach moich instrumentem zarabiam sobie i rodzinie swojej na chléb, co ja mówię *zarabiam*? ja żebrzę, znam ja od dawna mierność talentu mojego, i wiem że tylko ludzkości biednego narodu mojego, znanego mnie od dawna, zawdzięczam te pieniądze, które w mozolnych wycieczkach swoich zbieram. Wprawdzie uciulałem sobie z tysiąc franków, i to ofiaruję tobie panie już teraz, ale

cóż jest ta kwota w porównaniu z dobrodziejstwem, które mi chcesz wyświadczyć?

Artysta zesmutniał i głowa mu obwiła.

— Bądź o to spokojnym panie Fragorio, i ja byłem ubogim, a dziś jestem bogatym, a szal skapstwa i chciwości nie posiadał mnie jednakże, bo sobie przypominam dawnych czasów męki. Umieć używać mądrze i ludzko swoich bogactw; nic od ciebie nie żądam, tylko żebyś natychmiast jechał ze mną w moim powozie do Lizbony, i rozpoczął bez zwłoki kuracją, bo już tylko dwa tygodnie zabawię w Lizbonie.

— Ale żona moja? muszę ją przecie uwia-
domić, muszę ją sprowadzić do siebie, aby mnie
pielegnowała.

— Żona twoja? a gdzie mieszka?

— Mieszka dwadzieścia mil stąd, za Koim-
brą, na małym folwarczku, dzierżawionym przez
ojca mojego; ale obecnie nawet się nie znajduje
żona moja w domu, pojechała w głąb' Galicyi,
do dość majątnój krewnej wyblagać jakieś
wsparcie dla nas.

— Ha! z waszemi pocztami trudna sprawa,
i za trzy tygodnie żona twoja nie stanęłaby

w Lizbonie. Nie, panie Fragorio, idź za radą moją, jedź ze mną natychmiast, twój syn sprytny chłopak, ja sam, mój tłómacz i kilku innych dobrych ludzi, pielęgnować cię będziemy, zawierz słowu Anglika, i dalej w drogę stante pede. Ale najprzód napijmy się dobrego wina Castelbranco, dla którego przyznam się, głównie tu zjechałem.

* * *

Pokochał go w ciągu podróży, bo znalazł w nim głębsze czucie, wyższą duszę, szczery zapal do sztuki, prawdziwie ukształcony rozum. Przywiózł go z sobą do Necessidades, umieścił biédnego skrzyпка w pałacu królów Portugalii, i jeszcze tego samego wieczora oznajmił królowej i królowi jakiego wynalazł człowieka, w jak ciężkiej biédzie.

Donny Maryi serce było wyborne; należy ona już do potomności, lecz jéj tego potomność nie ujmie, że z rzadką bystrością umysłu łączyła dobrotniwe natchnienia duszy, często się objawiające szczerém wybaczeniem w ciągu jéj burzliwego życia i nader uciążliwego panowania.

— Dobry doktorze,—rzecze królowa do żywego rozrzewniona,—pomagasz mi do zapłacenia długu narodowego, i do wypełnienia chrześcijańskiego uczynku; mianuję cię za to komandorem orderu Chrystusa, gościa zaś mojego a twego pacjenta, ozdabiam dla nadania mu odwagi na operacją, krzyżem rycerskim tegoż samego orderu, bądź łaskaw wręczyć mu jego ozdobę.

I zwracając się do małżonka, rzekła:

— Królu Ferdynandzie! pożycz mi twego krzyża, wiesz, że mi moi jubilerowie już nie chcą dawać naszych dekoracyj na kredyt.

Skarb portugalski był wyczerpanym, ale serce królowej pełnem było złota.

* * *

Bóg pobłogosławił temu trudnemu, a tak pięknemu dziełu! operacja się udała! malarz widzi, rozeznał błękit nieba, smaragd ziemi Luzytańskiej, i po pierwszy raz zobaczył lica syna pierworodnego!

Boże! są jednakże i w tém życiu zachwyceń równające się może owym, które później doznawać będziemy, gdy ten ziemski żywot prze-

żyjemy, i dostaniemy się po odbytych próbach do jasności niebieskiej. Boże! on ujrzał po raz pierwszy piękne oblicze syna swojego klęczącego przed nim ze łzami jak perły w oczach wielkich brunatnych, tak mu przypominających oczy swój żony.

Doktór tylko na chwilę dozwolił używania tój roskoszy, potem zasłonił źrenice do jasności wskrzeszone, sam zaniósł chorego do łóżka, i ukląkł mówiąc z Ambrożym Pareuszem (a).

— *Boże ja jego opatrzyłem, ale tylko Ty potrafiśz go uzdrowić.*

* * *

(a) Ambroży Pareusz (Paré) urodzony w Laval roku 1509 umarł w Paryżu 1590 roku, przezwany ojcem Chirurgii francuskiej, był przybocznym lekarzem czterech królów Francyi, to jest: Henryka II, Franciszka II, Karola IX i Henryka III, umiał sobie swoją cnota, zdolnością i szczerą bogobojnością do tego stopnia zobowiązać owego potwornej duszy Karola IX, że podczas rzezi Śgo Bartłomieja sam król zatrzymał go u siebie umyślnie, aby go ubronić od morderezej śmierci; na którą wszyscy protestanci skazani byli. Ambrozyjusz Pareusz któremu ludzkość i nauka tyle winni, i którym się dzisiaj świadczy Medycyna, nie miał przyjaciół pomiędzy kolegami swemi; dokuczali mu gdzie tylko mogli. Taki był los wszystkich wyższości, nulla invidia praeter invidiam medicorum.

Dzieło dokonane! nauka tryjulf odniosła. Jan Fragorio dobrze przetrwał gorączkę, następującą zwykle po każdej operacyi, już mu można było odsłonić oczy, potem uchylić cokolwiek firanek. Tak! rozeznaje kontury, barwy, odcienia kolorów, może nawet czytać, ach nie zapomniał czytać przez lat jedenaście! jednym słowem widzi!

* * *

I wkrótce potem coś w tydzień, gdy się oswoił z rozmiarami przedmiotów otaczających go, Jan Fragorio zażądał ołówka i zaczął sobie kręślić po papierze, by się przekonać czy nie stracił wprawy przez lat tyle, czy jego talent zaklęty przez czas tak długi ocknie się. Rzecz cudowna i nieodgadniona, a jednak już razy kilka od stworzenia pierwszego człowieka zauważana, artysta nie stracił z talentu swojego, rysował z tą samą biegłością jak wprzód! w kilkanaście minut zrobił portret dobroczyńcy, swojego lekarza, potem portret syna, i te rysunki były doskonałe pod względem podobieństwa i poprawności. Doktor Hamilton brał się za głowę, i pojąć nie

mógł, jak się to stało, że artysta od tak dawna od władania ołówkiem odwykły, mógł od razu wejść w posiadanie całego talentu przedtém posiadanego. Unosił się nad swoim pacjentem, unosił się nad sobą samym, Bogu dziękował i zaręczał, że za pięć tysięcy dukatów nie dałby sobie odkupić swego własnego dzieła, swój własnej zastugi i świadomości.

A potem, artysta zaczął coś kreślić z pamięci, długo kreślił z wyrazem najwyższego natężenia na swój pięknej twarzy, i odganiał syna, aby mu nie patrzył w papier; i zrobił postać prześlicznej kobiety z anielską twarzą i kibicią Sylfidy. Potém zawołał syna swojego i spytał się go z miną człowieka oczekującego największego zadowolenia.

— Fernando! czy poznajesz tę kobietę?

— Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety, nawet królowa tak piękną nie jest! — odpowie z naiwnością wieku swojego Fernando.

— Oh królowa! nasza królowa jest dobrą, lecz piękną?... to co innego; ale nie przypominasz sobie kto tak wygląda mój Fernando, — wiem, że зуasz tego wizerunku naturalny pier-

wotwór, wiem to dobrze; tylko szukaj w twój pamięci, szperaj, a znajdziesz.

— Dalibóg papo nie mogę, jakoś mi się koniecznie zdaje, że tak pięknego nie w życiu nie widziałem, chyba w galerii obrazów tu w pałacu Necessidades, ale i to nie, dalibóg i to nie papo.

— Słuchaj Fernando, w domu naszym, tam w Alweyras nigdy nie widziałeś nikogo zupełnie podobnego do tego portretu? — pyta dalej artysta zmartwiony tępością pojęcia syna swojego.

— Ej! któżby tak wyglądał u nas, babcia wygląda jak grzyb, a Marikita ma ślipie jak kret, wargi jak śliwki i zęby jak migdały w lupinach.

— Ale twoja matka? ale twoja prześliczna matka Fernando, wszakżeś mi zawsze mówił, że twoja matka prześliczna.

— Tak, tak mówiłem, że moja mama prześliczna, ale... — rzece skrobiąc się w głowę ze smutną miną Fernando.

— No! ale cóż *ale*? cóż to znaczy to *ale*? — pyta artysta już zniecierpliwiony.

— Ale? bo to widzi papa, że mi babcia tak

kazała nazywać mamę, i za to dawała mi pomarańcze, orzechy, pierniki, konfitury i...

— Co to znaczy? co to znaczy Fernando? czyś ty obelgiwał ojca twojego? Ah przecież matka twoja jest cudem piękności? — krzyknie artysta z gniewem.

— Oh tak papo, mama jest bardzo piękna; ale nie bardzo podobna do tego obrazu.

W tém nadbiegł doktor Hamilton, i widząc pana Fragorio wzruszonego i zgniewanego aż do czerwoności, spytał się o przyczynę tego.

Opowiedział mu artysta i syn jego wszystko.

— Ale mój przyjacielu Fragorio, niéjże liłość, jednaście lat w życiu kobiety, żony niewidomego, która od pójscia za mąż rodziła dzie sięć razy, i wykarmiła siedmioro dzieci, to nie fraszka; zredukujże cokolwiek dawnego ideału obraz do rzeczywistości; musiała się odmienić koniecznie, zwłaszcza, że wasze kobiety nie tak trwale jak wy mężczyźni. A potém, cóż ten malec może rozeznac z obrazu ołówkiem robionego, na to trzeba wyćwiczonego oka; proszę cię, nie gniewaj się, głowa nabiegła ci krwią, mo żesz dostać zapalenia ócz, i znów pozbawisz

siebie wzroku, a mnie szczęścia żem ci go wrócił. Kładź się natychmiast do łóżka, każę ci postawić pijawki do nóg i dać potém kąpiel na nogi dla ściągnięcia krwi.

* * *

W dni kilka potém, Jan Fragorio czując się zupełnie dobrze, stęsknił się do domu. Królowa raczyła go obdarzyć nie tylko orderem Chrystusa, lecz także brzęczącą monetą, i obstałowała u niego kilka obrazów. Artysta nakupił sztalug, płótna, farb, słowem wszystkich potrzebnych mu materyjałów malarskich; i uszczęśliwiony, obiecawszy doktorowi jak najpiękniejszy obraz wystawiający uzdrowienie Tobijasza ze ślepoty, puścił się w drogę ku Koimbrze.

Wkrótce téż doktor Hamilton, dokonawszy szczęśliwie kuracyi infanta, bojnie wynagrodzony, miał się puścić w drogę ku Londynowi, gdzie go oczekiwała od lat siedmiu niewidziana córka, teraz piętnastoletnia panienka.

Już jedzie po południu statkiem parowym. Ach czemuż nie wyjechał wprzód?

* * *

Boże! Boże, niepojęte są wyroki Twoje dla nas, dopóki pozostajemy na tym świecie, i płytkim rozumem naszym chcemy badać ich mądrości. Boże! czemuż nieraz zbrodnia unika tutaj kary, a cnota cierpieniami jest wynagradzana? Szemrać nie będziemy, my chrześcijanie od innej siedziby oczekujący szczęścia, my prawdziwi filozofowie wiedzący, że poddać się wyrokowi losu jest mądrością. Lecz jednakże widząc, jak często niezаслужone nieszczęścia bywają powodem osłabienia ducha, wątpliwości i zachwiania się w wierze, błagać Ciebie musimy oh Boże Wielki! Boże łaski i mądrości! który łagodisz wichry dla nowo-postrzyżonych owiec, abyś nas nie wodził w grzeszne pokuszenie, i dla dobra słabych ludzi, raczył dawać częściej przykłady sprawiedliwości takiej, jaką świat ziemski pojmuje.

* * *

Doktor Hamilton miał jechać po południu o godzinie trzeciej, już większa część jego rzeczy na parostatku, właśnie się zatrudnia sam

osobiście pakowaniem rzeczy, zwłaszcza instrumentów, gdy się drzwi otwierają, i do pokojów wpada jakaś kobieta wysoka, ospowata z luszczką na jedném oku, z włosami rozczochranemi czarnemi, ale gęstym szronem przypruszone-mi. Strój téj kobiety był nieczystym, niedbalym, cały jéj obraz przejmował wstrętem, zwłaszcza gdy otworzyła bezzębne usta, i spytała chrapliwym głosem po francusku:

— Czy tu mieszka doktor Hamilton?

— Tutaj.

— A kto nim jest?

— Ja nim jestem.

— Ha! nieszczęsny! — odrzeczła owa kobieta złowrogim jękiem.

— A wiesz pan kto jestem?

— Nie wiem moja pani.

— Ja jestem małżonką tego nieszczęsnego Jana Fragorio, któremuś ty oczy otworzył, i który wróciwszy do domu spostrzegł, że jego żona nie jest aniołem piękności jak mniemał, lecz szatanem brzydoty. Ha! wybił mnie, wypędził z domu, zakazał mi powracać do siebie, groził mi wieczném więzieniem za oszustwo, za to

zem innęj osoby indywidualność na się przybrała aby pójść za niego. Ha! już go nie prześlaga, już moje szczęście na zawsze stracone. Więc wolę zginąć... tak! wolę ginąć; samobójstwa jednakże nie popelnię, bo to najokropniejszy ze wszystkich grzechów; wolę zabić aby być karaną śmiercią, i zabijam ciebie sprawcę mego nieszczęścia.

I domawiając słowa tego, piekielna jędra wydobyla pugiuał z pod mantyli, i nim się kto mógł spostrzedz, rzuciła się na doktora topiąc mu w piersi żelazo.

Pada biędny Hamilton na ziemię, broczy się w swęj krwi i jęczy z boleści.

Ona zaś siada na kanapie, i pasie swe przekłete oczy widokiem męczarni tego dobroczyńcy ludzkości.

Dwóch nas było lekarzy przytomnych temu zdarzeniu, doktor Kellermann, leibmedyk króla, i ja.

Przyskakujemy do rannego, zdzieramy z niego suknie.

Rana okropna: ostrze pugiuału padło na żebro i poślizgnęło się wzdłuż niego ze trzy cale

przedzierając mięsne części, potem wpadło między żebra, przebiło muskuly i widać lekko raniło płuca, bo ranny pluje cokolwiek krwią. Rana okropna, niebezpieczna, ale przynajmniej nie śmiertelna, bo serce nie tknięte.

— Rana nie śmiertelna! — krzyknęła pielkielna jęzda, którą tymczasem już pochwycono i skrzepowano. — Oh! mylicie się, czułam ją w rękę, zem trafiła w siedzibę życia; ten człowiek będzie trupem.

Jeszcze w życiu swoim nie widział tak złośliwej istoty, nawet wyobrażenia nie miałem o możliwości istnienia podobnego potworu.

Odprowadzono ją do więzienia. Ranę opatrzyliśmy nieszczęsnemu koledze; już leży na łóżku, na którym tylko materac pozostał, reszta pościeli już na statku.

Królowa i król z całą rodziną bawili wówczas w zamku Belem, i czekali na Hamiltona z audyjencyją pożegnalną.

Uwiadomiono Najjaśniejszych Państwo o tém co się stało, o zbrodni morderstwa dokonanej w pałacu królewskim.

Doktor Hamilton gdy otworzył oczy błagał,

aby się nie dopuszczano żadnych srogich przesładowań przeciw żonie Jana Fragorio, bo ona zapewne jest obłąkaną.

Nigdy dobroć i mądrość nie odstępowała tego przyjaciela ludzkości.

* * *

Prowadzi się śledztwo, które następującą wyjaśnia bardzo zawikłaną i zajmującą historiją.

Przed trzynastą laty Jan Fragorio wówczas dopiero dwudziestodwuletni młodzieniec, ale już sławny z talentu, mieszkał jako kawaler na jednej z pryncypalnych ulic Lizbony, naprzeciwko wielkiego pałacu zajmowanego przez jeneralnego intendenta wojsk portugalskich, dumnego barona Saa de Miranda.

Pan baron miał dwie córki: Ildefonsę i Izabellę, córki bliźniaczki, które temu lat dziewiętnaście przyszły razem na świat, i tém matce odebrały życie. Pan intendent musiał wyruszyć na wojnę do Brazylii; a krewni wzięli do siebie owe córeczki; jedni biedniejsi wzięli do siebie Ildefonsę, drudzy bogatsi Izabellę, i wychowy-

wali zupełnie inaczej owe dzieci, które przychodząc na świat, zupełnie do siebie podobne były.

Długo trwała wojna w Brazylii, całe lat dzie sięć; a gdy baron wrócił i córki swoje zobaczył, nie chciał wiary dać oczom, bo nigdy niepodobniejszych do siebie nie widział sióstr bliźniaczek. Ildefonsa wyższa, mocniejsza, miała twarz osypaną poszarpaną, jedno oko luszczką zasłonięte, a drugie złośliwie spozierające; Izabella zaś mniejsza, ale nieskończenie zgrabniejsza, miała twarz anielskiej piękności, oczy czarne duże, podługie, pełne ognia i zarazem słodczy. Słowem, większej sprzeczności nie było na świecie jak owe dwie siostry, tylko jeden posiadający dar wspólny i zupełnie do siebie podobny, to jest: głos nadzwyczaj mocny i dźwięczny, przytém nadzwyczajny talent do muzyki.

Ma się rozumieć samo z siebie, że Izabella została bożyszczem domu, Ildefonsa zaś jego kopcuszką, a popychadłem swój pięknej ale kapryśnej i swywołnej siostry.

Ba darmo! znośiła wszystkie upokorzenia jak najcierpliwiej, a patrząc w zwierciadło, sama przyznać musiała, że na to jest wybraną od

Boga, iżby je znosiła, i że dla niej mało będzie szczęścia na tym świecie.

I byłaby się zakopała w klasztorze, tylko że ją zachwycała muzyka, tylko że lubiła chodzić do teatru, tylko że prawdziwego powołania na mniszkę nie czuła w sobie. A potem gdy podrosła, i gdy się piękny a już sławny Jan Fragorio sprowadził na przeciwko, potem ona wykwitając niezwalczoną siłą natury do panieństwa, ona jakoś się zajęła młodym malarzem, który z taką pilnością pracował, i tak dobrze się prowadził.

Istotnie pod wieloma względami Fragorio był wzorowym młodzieńcem; żadnego nigdy nie doznawał pociągu do owego życia hulackiego, któremu nasi artyści zapominając szlachetności powołania swojego, lubią się poddawać, unikał towarzystwa próżniaków i ludzi źle wychowanych jak najstaranniej, honoru zaś swojego pilnował dzielnie jak najlepszy Fidalgo; nie napaśtował nikogo, ale języka w ustach nie zapomniał gdy go nagabywano lub lekceważono.

Owe zalety zdobiące młodego artystę, znane w Lizbonie i w całej Portugalii, zjednały mu

szacunek powszechny, i sama piękna Donna Izabella, jakkolwiek była dumną, lubiła czasem dla spróbowania skuteczności swego wzroku zerknąć pięknymi oczyma na młodego artystę, o którym nie wiedziała może, że się w nią kochał zapamiętała zaraz od pierwszej chwili gdy ją zoczył. Lecz o tém wiedziała z pewnością, że jej dusza już była zajęta innego mężczyzny obrazem, że oddała serce swoje przed kilkoma miesiącami swemu professorowi śpiewu i sławnemu aktorowi Mario de Candia, który w całej Europie uchodził za jakiegoś wydziedziczonego hrabiego, i niestychany wywierał urok talentem, szlachetnymi manierami, piękną wymową, nadzwyczajną przystojnością i swymi mniemaniami nieszczęściami.

Nikt wówczas nie wiedział, że uroczy M. de Candia miał bardzo starą, brzydka i bogatą żonę, od której uciekł wzięwszy z sobą fundusik na przechrzczenie się, na wygięcie sobie manier i wyrobienie głosu; a najmniej o tém wiedziała piękna Izabella, z którą się zaręczył pokryjomu obiecując przybyć wkrótce do Lizbony, i wy-

stąpić w charakterze hrabiego dla zyskania jój ręki od dumnego ojca.

Donna Izabella czekała na spełnienie tych lubych i tajnych nadziei, a tymczasem ciągle dalej doskonaliła się w muzyce, i w chwilach pu- stoty cokolwiek kokietowała ze swym miłym są- siadem, o którego talencie pisały dzienniki.

Biędny Jan Fragorio na zabój się kochał w Izabelli, i całkiem opanowany tém uczuciem, nie spostrzegł że w nim się kocha na zabój Don- na Izydora, brzydka siostra jego pięknego ideału.

To już jest pewnością nad pewnością, że nie wściekleszego nad miłość brzydkiej kobiety; ona nie pyta czyś ją chciał wzbudzić czy nie, ona wzgardą nie da się odstraszyć, ona cię uwa- ża za odpowiedzialnego za uczutą namiętność, ona nakoniec chce cię zmusić do wzajemności.

Izydora widzi, że młody malarz nań spogią- da ze wstrętem, że się cofa gdy ją ujrzy w o- knie, że się przybliża z zafranek do okna swo- jego gdy do przeciwległego przysunie się Iza- bella.

Odgadła kto stoi na przeszkodzie jój szczę- ściu, a nawet zaostrzonym zmysłem pojęła, że

płocha, figlarna siostra robi sobie igraszkę z uczuć młodego artysty, i że już gdzieindziej musiała rozporządzić sercem.

Bada, szuka, szpieguje, listy ostrożnie pisane przejmuje, już wie wszystko, pisze bezimiennie list do M. de Candia, zawsze jeszcze w Neapolu tenorującego w Operze. Ostrzega go, że ktoś bardzo utudny dybie na przyrzeczone mu szczęście, radzi mu, żeby niespodzianie zjechał i wykraść Izabellę, obiecuje że jakiś nieznajomy anioł stróż ułatwi mu ucieczkę.

A tymczasem wkrada się w zaufanie siostry wszystkimi przymilającymi środkami, na jakie zdobyć się może podstępna, uczuciem namiętnej miłości spotęgowana do genialności intrygantka.

Intryga jest najulubieńszym środkiem kobiet, wiele czasu mających na knowanie planów; a w niej wygórywają najczęściej brzydkie osoby, nie mogące nic zdobyć łatwo urokiem piękności lub cnót.

Intryga dobrze obmyślana, wytrwale i zacięcie przeprowadzona jest szatańsko-skuteczną!

Już wszystko dobrze nastrojone!!!

Jan Fragorio przyjęty przez cesarza Don-

Pedra, który mu powierzył wykonanie kilku obrazów dla swój galeryi, staje się osobą używającą przystępu do dworu, i od tego czasu nazywać się może Dom Jaò Fragorio tak jak każdy fidalgo herbowy.

Już téż śmielszém spogląda okiem na swój świetny ideał, o którym cała stolica Portugalii mówi, że jest liliją Luzytanii.

Nigdy słowa jednego nie rozmawiał z cudnym przedmiotem swych dziewiczych płomieni, bo etykieta Lizbońska, nadzwyczaj surowa, nie dozwala żadnych przybliżeń pomiędzy młodemi ludźmi różnej plei i nierównego urodzenia. A tu serenad nie ma w namiętnej Portugalii, która się przejmuję wszystkiém złem co z za granicy pochodzi, i już od dawna przejęła się etykieta sztywną anglików.

Daleko w tym względzie od Portugalii do Hiszpanii; dalej jak do Francyi, gdzie przecież na południu nieśmiały kochanek wyjawić może tęsknotę śpiewem pod gankiem ulubionój swojej.

On téż nie śmiał jeszcze zbliżyć się; tylko wszędzie gdzie ona chodziła, czy do kościoła, czy do teatru, czy na hecę i walkę byków, czy

na miejsca przechadzek, wszędzie się znajdował nieodstępny jak cień obok gorącego światła promieni południowych.

A raz przecież ośmielił się przemówić doń językiem kwiatów, i pysznym, wymownym znaczeniem, trzydziestu córek Flory bukietem, zręcznie wrzuconym przez otwarte okno, wyjawil jej swoje nieśmiałość, swoje obawy, swoje płomienie, nadzieje i tęsknoty.

A w dni kilka znalazł w swym pokoju bukiet z smętnych zwity kwiatów, którym mu powiedziano, że *ona* lubo na pozór szczęśliwa i wesola, grób nosi w sercu.... i wkrótce wstąpi do klasztoru.

Od téj zaś chwili lilija Luzytanii już się nie okazywała ani w teatrze, ani na alamedach, ani w oknie pałacu swojego, i w krótko potem rozgłosilo się głucho po Lizbonie, że Donna Izabella Saa da Miranda wstąpiła do klasztoru szlacheckich Cecyljanek, najsurowszój reguły, w którym własny ojciec nie ma prawa widzieć własnej córki, w którym żywcem zakopało się od dawna dawien wiele najpiękniejszych i w muzyce najbieglejszych panien Portugalii.

Lecz w istocie, jak się tego domyślamy, donna Izabela pobudzona przez własną siostrę, dała się wykraść signorowi M. de Candia, tenorowi Neapolitańskiemu, który ją uwiózł podobno do Londynu.

Generał baron Saa da Miranda sam utrzymywał, że jego piękna córka wstąpiła do klasztoru Cecylijanek, i wkrótce potem umarł z żalu, bo wiedział że ona zbiegła z domu nie wiedzieć z kim i gdzie.

Ildefonsa plakała całemi godzinami w oknie domu swojego, i błyskała swém ślepém i swém zdrowém okiem na nieszczęśliwego malarza. Ale nie był to balsam na rany jego; obrzydła mu Lizbona i Portugalija, pojechał do Brazylii, aby zgłębieniem nowych wrażeń przytłumić swój nieszczęśliwej miłości udręczeń.

* * *

Już prawie od roku bawi Don Jaó Fragorio w Rio-Janeiro; już tu znany, poszukiwany i wzięty jako malarz i jako dobrze wychowany człowiek świata. Ale zawsze smutny, tylko religijne

maluje obrazy, i we wszystkich, zwłaszcza obrazach przedstawiających świętą Cecylią, maluje swego ideału oblicze w coraz doskonalszych, świetniejszych barwach i urokach.

Ona zawsze i wszędzie, *ona* przed oczyma jego wierniej wyobraźni, i trudno mu pomyśleć o czém inném jak o niej, i nie sposób mu jój nie kochać, jój się obrazem nie lubować.

Lubił przechadzki samotne po nad brzegami morza;... i tam w wieczornym powiewie oceanu, chłodził sobie wyobraźnię, zagrzaną dziennym trudem, całodniową myślą o *niej*, która w swym klasztorze żywcem zakopana w grobie, może żałuje swych rozpaczliwych postanowień.

Razu jednego, gdy tak przechodził się samotnie, przystępuje do niego człowiek z brodą w okularach, i prosi o jałmużnę. On sięga do kieszeni, a tamten cieczą jakąś ostrą niezmiernie, zawartą w butelce, skrapia mu oczy.

Okropnym bólem przejęty, oślepiiony, biedny artysta rzuca się w morze, instynktownie ratując się, a z bólu krzyczy niemilosiernie. Byłby niezawodnie utonął, ale pomoc mu przyszła niewiedzieć skąd, wydobyto go z wody w której

nie widząc nic, nie wiedząc gdzie jest, był zanurzony. Przeniesiono go do mieszkania, dano mu pomoc, cała twarz skancerowana, oczy zapalone ale całe, zapalenie wdziera się wewnątrz pomimo wszelkich starań, artysta żyje — ale wzrok traci.

W kilka miesięcy potem, świetny i tyle rokujący malarz powraca do Portugalii, do ojca swego, ubożego dzierżawcy folwarku, należącego do jakiegoś klasztoru blisko Koimbry. Rozpacz w domu, o jakiej wyobrażenia sobie zrobić nie można; jedyne dziecko, które tak świetnie rozpoczęło swój zawód artystyczny, leży pozbawione wzroku, leży bez chleba i pomocy, bo on bez funduszu, ojciec zaś jego nic nie zebrał w roku przeszłym z przyczyny wojny, i nawet dzierżawy opłacić na ten rok nie może.

W Rio-Janeiro przypisano zazdrości miejscowych malarzy jego nieszczęście, mniemano że jakiś najęty człowiek wypalił mu oczy serwaserem. Nie raz się stały podobne zbrodnie, nawet w Paryżu, jak o tém przed laty kilkunastą donosiły gazety.

Gdy jednego poranku *o* znekany smutnemi myślami jeszcze odpoczywał, ojciec zaś jego z zafrasowaném czołem już pracował w winnicy, przystąpiła do tegoż jakaś dama wysoka, czarno ale pięknie ubrana, z mantyllą na głowie twarz jój zasłaniającą.

— Ojczy Fragorio! — rzecze ta dama do starca: — ja wiem czemu wasze czoło tak posępne, ja znam wasze smutki;... syna macie ośleplego bez sposobu do życia, a was wyrzucają z tego folwarku za dni cztery, jeśli nie opłaciecie za leglój już od roku dzierżawy.

— Tak jest Sennora jak mówisz, — odpowie stary Fragorio, — Bóg nas ciężko dotknął na starość, nas biędnych rodziców jedynego, tyle rokującego dziecięcia. I to prawda żeśmy przywiedzeni do największej nędzy. Biędny Jan nie dokończył swoich obrazów w Rio-Janeiro, wiele go kosztowała kuracyja, resztę gotowizny wy-czerpały koszta przewozu, słowem, wrócił z próżnemi rękoma, i za dni cztery mają nas wyrzucić z tego folwarku, który trzymam od lat dwudziestu siedmiu, w którym się rodził oślepty malarz.

— Biędny starcze! Bóg wam zsyła pomoc. Oto pieniądze wystarczające nie tylko na zapłacenie dzierżawy, ale także na zakupienie potrzebnego inwentarza; i oto także w tój skrzynce którą tu niesie moja służąca, doskonale skrzypce i nuty umyślnie dla ociemniałych w Paryżu drukowane. Wiem że Don Jaó nieźle grał na skrzypcach, niech sobie przypomni swój talent, obok zatrudnienia przyjemnego, znajdzie sposób utrzymania się.

— Ach pani! kto jesteś aniele zesłany tu przez Boga na otarcie łez naszych? — rzecze starzec ze łzami w oczach, składając ręce swoje jak do pocierza.

— Jestem dawną przyjaciółką Jana Fragorio, moje imię on często wspominać musi w swoich marzeniach... — rzecze ta dama słodkim jak niebieska harmonija głosem.

— Sennora! byłabyś ową śliczną Izabellą o której bez ustanku mówi mój biędny Jan do siebie?

— Jestem nią mój ojczy, ale piękność moja zgasła tak jak zgasło światło w oczach twego syna. I mnie Pan Bóg dotknął ciężko, ospa mnie

oszczędziła nieubłaganie, i jedno oko zasłoniła miłuszczką. Lecz duszy mojej nie oszczędziła ta klęska, owszem dusza moja i serce dla twego syna miłością palające, pozostały nietknięte. Patrz ojcze Fragorio, już i śladów piękności nie znajdziesz na licach.

Dama odstłoniła twarz swoją i ukazała oblicze nie Donny Izabelli, lecz namiętniej brzydkiej Ildefonsy.

Aż zadrżał starzec.

— Prawda że brzydką jestem, lecz on nie powinien nigdy wiedzieć jaka zaszła zmiana w twarzy mojej. Ty starcze, jeżeli chcesz uszczęśliwić syna swojego, i jeszcze z niego doznać pociechy, powinieneś o mnie mówić jak o cudzie piękności, powinieneś pokryjomu i zręcznie naklonić do tegoż samego żonę swoją; musisz pooddalać sługi nie umiejące dochować tajemnicy, a przyjąć inne wtajemniczyć się dające w to niewinne, do waszego dobra dążące szalbierstwo. Ja chcę zaślubić syna twego, mieszkać tu z wami opodal od świata, być dobrodziejką waszą i nianką biednego Jana.

— Jesteś szlachetną kobietą Donna Izabello, — rzeknie starzec, — przystaję na wszystko co tylko chcesz.

— Ani imienia mojego wymawiać nie powinienś przed Janem, powiesz tylko, że kobiéta młoda, świetnej urody, dawna znajoma, sąsiadka Jana przyszła wam w pomoc; przyniosła ona skrzypce, i że za miesiąc jeden o tój samój porze będzie tu w winnicy, w tój altanie gdzie chce spotkać syna twojego sam na sam. Tymczasem skup bydło i pooddalaj niedyskretne slugi. Bądź zdrów ojcze!

— Bóg z tobą szlachetna Sennora, niech On cię wynagrodzi za tve dobrodziejstwo.

* * *

Zmieniła się postać rzeczy w biednym folwarku Alcoyo. Jan Fragorio już nie myśli o samobójstwie, którego grzeszne chęci już się gniewdzić zaczęły w jego duchu. On pojmuje szczęście na tym świecie, ale je pojmuje tylko z Izabellą, ukochanym ideałem swoim, ze słońcem duszy swojej; on nie wie czy nie zyskał na zmia-

nie, na każdy sposób woli być mężem Izabelli i pozostać ślepy, niż odzyskać wzrok i żyć zdaleka od niej; on przekłada tak okropne kalectwo, grób talentu swojego, nad cierpienia tęsknoty do swjej ulubionej. I czuje się pokrzepionym w duszy, nawet szczęśliwym; niekiedy nawet napada go taka wesołość, że jej powściągnąć nie może; że porywa z sobą starych rodziców, na których twarzy już od tak dawna nie błyszczał uśmiech.

Z zapalem także wziął się do oddawna zapomnianego smyczka, i dnie całe przepędza w altanie winnicy swojej nad grą, odświeżając w pamięci dawne brzmiące w uszach jego pieśnią Izabelli; i świetny jej głos naśladowując ową pełną intonacją, do której wznieść można struny cudownego instrumentu. I nowych się uczy melodyj, zbierając nóty nie oczyma, lecz palcami po wytłoczonych kartach. Czuje się szczęśliwym do tego stopnia, że codziennie w rzewnych modlitwach dziękuje Bogu za ten dowód świętej Jego łaski.

Dobry byt wrócił pod strzechę Fragoriów, dzięki wsparciu zostawionemu przez czarną damę. Kupiono bydło, zrestaurowano dom, nawet

przybudowano do niego dwa pokoje dla Jana i jego żony, bo że się żenić będzie to już przewidują wszyscy, nieograniczoną pokładają nadzieję w słowności dobroczynnej dziewicy.

Nadchodzi dzień obiecany.

— Czy już noc? czy już dzień?—pyta ślepy malarz, spać nie mogący od dni kilku z niecierpliwości i wzruszenia.

Ach jak ona wydostać się mogła z tego klasztoru, z którego nikt jeszcze nie wrócił gdy raz weń wstąpił? pyta sam siebie.

* * *

Jan Fragorio czeka w altanie, i teraz w chwili gdy się rozstrzygnąć mają jego losy, nie ufa szczęściu swojemu, drży na całym ciele i modli się.

Ona się zbliża, i zobaczywszy Jana w altanie, klęka, zalewa się łzami, drży także i szczęściu swojemu nie ufa.

Jéj łkania doszły do uszu ociemniałego.

— Kto tam?—pyta drżącym głosem: — kto tam?

— To ja! Ildę... to ja Izabella, — odpowiada.

da czarna dama zasłaniając twarz swoją, jak gdyby się obawiała poznania, i wykrycia tajemnicy.

— Sennora! Sennora! Ach wielki Boże! więc to jest prawdą? więc się ulitowałaś nad biednym człowiekiem, któremu Bóg odebrał co mu było najmilszém, widok wdzięków twoich, twój wspaniałej piękności. Oh zbliż się do mnie świetna Izabello i przemów miłym głosem, który do mnie nigdy nie był zwróconym.

— Don Janie! przebacz mi, — rzecze czarna postać, zbliżając się do altany:— ja nie wiedziałam jak ja ciebie kocham, gdy zrażona dumą ojca mego, wstąpiłam do klasztoru, przekładając grób najmilszych nadziei moich, nad pożycie z dostojnym mężem, którego dla mnie wybrano. Przychodzę żebrać przebaczenia twego, korzę się przed tak wielkiém nieszczęściem, którego byś może był uniknął, gdybym nie była wstąpiła do klasztoru.

— Ach to twój głos czarujący, który nieraz dolatywał ucha mojego, gdym siedział niedaleko od ciebie w teatrach i na spacerach, który słodził sny moje harmonijnym dźwiękiem odgłosu.

Oh Izabello! takiego głosu nikt nie ma i nikt mieć nie może, kto tak wzniosłego piękna jak ty nie jest przedstawicielem. Miej litość! przybliż się do mnie, podaj mi rączkę swoją, niech ją uścisknę po raz pierwszy w życiu, i pokryję gorącemi łzami tych ócz niewidomych, wydartych mi jak widzisz w kwiecie wieku, i w chwili gdyś także płakał jak teraz dla ciebie.

— Moja ręka? oto ją masz Don Janie, na całe życie jeśli tego chcesz, ta ręka pielęgnować cię będzie, jak ręka matki, siostry, przyjaciela, kochanki a nawet i żony... Ach i ja jestem nieszczęśliwą, ukrywać się muszę, maskować przed ludźmi, żyć pożyczaném imieniem...

— Tyś nieszczęśliwa Donna Izabello? ty której życie niegdyś spływało jak ciągły potok szczęścia i uroków, ubóstwiana przez wszystkich, sławiona z piękności i talentu?

— Czyż zapominasz, że wstąpiła do klasztoru? czyż nie pojmujesz że z niego *uciekła*, kiedy mnie przed sobą widzisz; to jest, kiedy mnie przed sobą czujesz?

— Prawda, prawda, to rzecz nieodgadniona, jak mogłaś się wydostać z klasztoru z które-

go nikt od założenia go nie wy dostał się jeszcze; prawda, i ja tego nie pojmuję, i nadaremnie w głowie mojej szukałem środków wytłómaczenia tego?

— Nie pojmujesz Don Jaó? ja ci wszystko wytłómaczę. Po twoim wyjeździe do Brazylii, Donna Izabella, siostra moja, zapadła na suchoty, i wiedząc w jakim jest stanie, prawie już dogorywając, dowiedziawszy się przytém jakie cię spotkało nieszczęście w Rio-Janeiro, chciała się widzieć ze mną raz jeszcze, i po rozlicznych staraniach otrzymała na to pozwolenie od władzy duchownej. Przyszła zakwefiona naszym zwyczajem, opowiedziała mi wszystko, wysłuchała mnie w celi mojej, i widząc ile cię kocham, ośmieliła mnie do zuchwałego kroku, do zamienienia sukni i do ucieczki z klasztoru. Ja uciekłam, ona zaś wkrótce potém umarła; już leży od czterech miesięcy w grobie. Ja zaś wszedłszy w prawa jej szczupłego majątku i świadcząc się jej imieniem, ukrywać się musiałam jak najstaranniej, bo wiesz przecie mój dobry Janie, jak wielka różnica zachodzi pomiędzy osobistością nieboszczki Donny Ildefonsy a moja....

Od téj chwili spokojności dla mnie nie ma; wprowadzie nowy edykt znoszący klasztory i śluby zakonne daje mi niejakię zabezpieczenie, lecz wszystko to rozbija się o fanatyzm religijny panujący w kraju naszym, i ciągle widzę przed sobą księży gotowych mnie wtrącić do klasztoru, a nawet zamorzyć w jakiej kryjówece, jak to bywało dotychczas w zakonném życiu, gdy kto przestąpił przysięgę kościelną. Jestem w ciągłej obawie, i chyba tylko tutaj, w tym zakątku oddalonym od świata, znaleźć mogę spokojność.

* * *

Jan Fragorio jest szczęśliwym małżonkiem już od lat jedenastu, jest ojcem siedmiorga dzieci potrzebujących chleba, odzienia i wychowania. Żona jego, najprzykładniejsza małżonka i matka, nigdy się nie wydała z obrębu małego folwarczku, pracuje wespół z starymi rodzicami męża swojego, aby wydołać na utrzymanie tylu dzieci w tak ciężkich czasach, w które z przyczyny ciągłych zmian politycznych, Portugalija była wtrąconą. Już jéj szczupły mająteczek po-

chłonięty na utrzymanie w jakim takim stanie gospodarstwa, i Don Jaś od kilku lat podróżuje po kraju z skrzypcami swojemi, i z pomocą pierworodnego syna zarabia corocznie w kilka miesięcy z tysiączek franków, wielką ulgę przynoszących w prowadzeniu gospodarstwa. Nareszcie dowiaduje się żona jego, że w Galicyi hiszpańskiej mieszka jej ciotka, podeszła, dość majątna i bezdzietna osoba. Jedzie do niej w tym samym czasie w którym ślepy skrzypek z synem swoim rozpoczyna swoją artystyczną wycieczkę.

W tej wycieczce spotyka doktora Hamilton i teraz znamy dalszy ciąg tej historii.

* * *

Ale jeszcze nie znamy wszystkiego, lubo się przecież domyślamy, że Sennora Fragorio nie była Donna Izabellą de Saa Miranda; ale jeszcze nie znamy wszystkiego, bo nie wiemy kto biédnego Jana Fragorio umyślnie oślepił w Rio-Janeiro.

I ja tego dotychczas nie wiem, tej tajemnicy dociec nie chciałem, lubo z przyrody jestem cie-

kawym i z powołania nim być muszę; ależ ja wiem niestety do jakich fortelów, do jakich okrucieństw kobieta brzydka uciec się gotowa dla osiągnięcia celu swój żądzy miłosnej; znam za nadto wiele z czarnych tajemnic ludzkości, lubo zawsze dążę do jasności, do światła i do piękna!!

* * *

Jan Fragorio był człowiekiem jak i my, nawet do sześcianu spotęgowanym człowiekiem, bo artystyczna dusza przez lat jedenaście zakłęta w ślepotcie, gdy się na raz przedarła do światła i do jaźni, olbrzymie zyskuje siły czucia, i wedle nich oddziaływa, tak jak ta galka z kości słoniowej rzucona na wypolerowany marmur.

On ją sobie malował piękną, zachwycająco śliczną dziewczicą, tak jak pozostała skryzalizowana w jego pamięci ludzonej artystycznym urokiem wyobraźni; on mniemał zastać anioła wdzięków w domu swoim, i słodził sobie długie chwile najdokuczliwszego kalectwa tą słodką myślą, że jest mężem najpiękniejszej kobiety

w Luzytanii; a tu zastaje w domu swoim straszdyło pielęgnujące dzieci jego, i pyta się go:

— Upiorze! gdzie jest Izabella? gdzie jest żona moja?

Ona nie wie, że on przejrzał i rzuca mu się na szyję, całuje go, łzy wylewa.

On ją odpycha i ciągle pyta gdzie jest Izabella, i wreszcie poznawszy w tej kobiecie Ildesfonse, bije, przeklina ją, odgaduje wszystko, wypędza matkę swych dzieci z domu, i złorzeczy chwilom w których zostały poczęte, owe niewinne a prześliczne owoce miłości innej osobie poświęconej.

Potém chce się zabić, ale padł omdlały, i gdy wrócił do przytomności woła:

— Precz z tym upiorem, z tym szatanem, ja nie jestem ojcem dzieci tego straszdyła, chcecie żebym ją zabił?

Ona na klęczkach, na ziemi pełzająca u nóg jego, wyjawia mu wszystko co wie o pięknej Izabelli, która zapomniawszy swęj godności wstydu i ambicyi, dała się wykraść śpiewakowi M. de Candia.

On wysłuchał, niczego nie zapomniał, i tej

samój nocy znikł z domu, nikt nie wie gdzie się udał.

W niej zemsta zawrzała, a nie wie na kim się zemścić; jak zapalczywe zwierzę oślepięone chucią nienawiści, rzuca się na ostatnią, najniewinniejszą przyczynę niedoli swojej: na szlachetnego okulistę, który wrócił wzrok jej mężowi.

* * *

Znów od tego czasu rok cały przeszedł.

Jan Fragorio był w Paryżu, odszukał Signora M. de Candia, obraził go, wyzwiał na pojedynek, został ciężko rannym, a potem wyzdrowiawszy, dowiedział się, że piękna Izabella, już od dawna przechodząc z błędu do błędu, schodząc w zawodzie zepsucia coraz niżej, stała się najnikczemniejszą istotą.

Bo w tamtych krajach nie tak jak gdzie indziej: tam płoche, honor swój poniewierające istoty, nie zyskują na wzięciu w miarę lat przeżytych w zepsuciu i hańbie; tam nie umierają milionerkami, tylko marnie giną, w rysztołku gałganiarskiej dzielnicy, często w więzieniu, czasem nawet na rusztowaniu.

Widział ją jeszcze dosyć piękną, ale zupełnie spodloną, ze wstydu odartą, obrzydzenie wzbudzającą.

I nie śmiał jęj się dać poznać w tém ohydнім miejscu, gdzie już nie ma nadziei poprawy.

A dowcip na to jęj służy, żeby mogła drwić z wszystkiego, co na téj ziemi pozostało jeszcze świętém! Onaby urągała się z Jana Fragorio ubóstwiacza swojego, onaby go chciała pozbawić wszystkich szlachetnych uczuć, nawet téj miłości, którą on pielęgnuje dla nięj.

Jeszcze nigdy w życiu estetyczny artysta nie widział piękna w tak obrzydliwym miejscu, i tutaj dopiero w tym przybytku grzechu i hańby, po raz piérwszy zatęsknił do swęj brzydkięj żony, która przez lat tyle dzielila z nim wszystkie troski, i jedném go słowem nie zgorszyła, lecz owszem budowała swą szczerą religijnością.

Po całorocznym pobycie we Francyi, wraca do domu swojego pod Koimbrą, pewny że tam znajdzie żonę swoję przy dzieciach.

Dowiaduje się tutaj dopiero, że jego żona już od roku w więzieniu, skazana na lat dziesięć

za zamach zabójczy, dokonany na osobie doktora Hamiltona.

Sam Hamilton błagał na klęczkach u królowej litości, dla obłąkanej morderczyni swojej, lecz otrzymać nie mógł łaski; królowa chciała ukarać przykładnie tak wielką zbrodnię dla powściągnięcia zapalczywości kobiet portugalskich fanatycznie religijnych, i zarazem najdzikszą zemstą pałających.

Don Jaś Fragorio udaje się z wszystkimi dziećmi swojemi do Lizbony, rzuca się królowej do nóg, sam siebie obwinia o przyczynę téj zbrodni, opowiada tok całej rzeczy.

Królowa zmiękczona dała się przebłagać.

Szczęście wróciło pod strzechę srodze udręconej rodziny, a wkrótce potem Jan Fragorio zajaśniał nowemi jeszcze doskonalszemi dowodami malarskiego talentu.

ROZDZIAŁ IV.

Obląkany lekarz.

Quien no ha visto Sevilla, no ha visto moravilla! kto nie widział Sewilli, ten cudu nie widział, — utrzymuje każdy Sewilijańczyk dumny z okazałych pomników, które dwadzieścia kilka wieków nagromadziły w tém mieście tak szczęśliwie położoném w żyznej okolicy nad brzegami Gwadalkwiwiru.

Jestem od tygodni kilku w tém uroczém miejscu; codziennie podziwiałem katedrę, Alcazar, Giraldę, ogrody, muzea, fabrykę cygar, w której cztery tysiące burzliwych córek Hesperyi kręci cygara i myśli o polityce, a nawet

zwiedziłem pałac inkwizycyi, w którym jeszcze przed niedawnemi czasy, za dobrego króla Ferdynanda wieszano, duszono i palono za wiarę najlepszych obywateli Hiszpanii.

* * *

Nareszcie zaszedłem do okazałego szpitala obłąkanych, do Bonifratrów sewilskich, w których mieszczą się w osobnych oddziałach kobiety i mężczyźni. Sam pan dyrektor, sławny, lubo jeszcze młody doktor Donadio, oprowadza mię po tym szpitalu, w którym wówczas przeszło sześćset obłąkanych roślinkowało.

Zaszliśmy najprzód do kobiet. Jedne bawią się w ogródkach, w nich kopią i kwiatki pielęgnują; drugie uczą się śpiewu religijnego pod przewodnictwem pocziwych siostr miłosierdzia: inne chodzą z obłąkanemi oczyma z kąta w kąt mrużąc niewyraźne słowa i groźby; inne jeszcze na oddzielnych dziedzińcach tarzają się w piasku lub grzeją w słońcu. Są i takie co pozatykały we włosy rozmaite świecidełka, i wdzięczą się do każdego mężczyzny mniej

więcej bezwstydnie, a nareszcie są i takie, które w zapalczym gniewie wszystko z siebie zrywają, i gotowe są rzucić się do oczu infirmierkom, bonifratlerce i dyrektorowi.

Niestety! wszystkie klasy towarzystwa, wszystkie zawody i wieki dostawiły tu swój kontyngens, mianowicie w ostatnich czasach, w których Hiszpanija tyle burz doświadczyła.

I wszystko w tym domu jest porównaném przez sąd nieuznający żadnej różnicy pomiędzy ubóstwem i bogactwem, pomiędzy młodością a starością, pięknnością a brzydotą, pomiędzy miłą oświatą a najsurowszém barbarzyństwem. Wychowana w przepychu żona i córka dumnego Hidalga, mieszka tu razem z dawną galganiarką, która rozum swój zapila. Zastarzała w wyuzdaniu kobieta, pędzi swe życie obok szesnastoletniej niewinnej Sennority, której kwiat dziewiczy nietknięty, pójdzie z nią do grobu.

Tu wszystko najokropniej równie i więcej daleko przestrasza jak śmierć sama.

Ale to dziwna, że razem z szlachetnością natury ludzkiej, nie zawsze z niej znika jej złoliwość; owszem, tu spostrzegłem w tych siedzi-

bach obłąkania, że po zwiędnięciu kwiatu chwasty jeszcze pozostają w duszy ludzkiej, i wybujać zdołają w sposób dziwnie srogi. Z jaką radością niektóre z tych nieszczęsnych spoglądają na kary wymierzane równiecnikom! o jak się cieszą na odgłos ich jęków, jak dziłkie wydają okrzyki!

I toż samo, tylko jeszcze w więcej rażących barwach, znajdziesz w oddziale męskim. Passyje polityczne, zapalczywie wygórowane w ogni-stych duszach Hiszpańskich, nagromadziły tutaj mnóstwo ludzi, którzyby mogli być ozdobą kra-ju swojego, gdyby umieli hamować gwałtowność namiętności i polot wyobraźni swoich.

W jednym z dziedzińców, otoczonym wyso-kim murem, rowem i sztyldwachami, stoi ze dwanaście budek drewnianych w dwóch szere-gach odległych od siebie o jakie dwadzieścia kroków, a w każdej z tych budek zamknięty maniak albo maniaczka, których wściekłości żadnym innym sposobem pohamować nie można było.

Do hyjen raczej jak do ludzi podobne, wyją

te nieszczęsne stworzenia, którym Bóg odebrał rozum, a życia odebrać nie raczył.

Ten widok jest najokropniejszy, i nigdy z pamięci zniknąć nie chce.

* * *

— Chodźmy złożyć winny szacunek Sennorowi Barrameda, — rzecze do mnie doktor Donadio, zmierzając do jednej z tych budek, zamkniętej na dwa olbrzymie rygle i na zamek, do którego klucz miał dyrektor w kieszeni.

— A któż ten Sennor Barrameda? — spytam.

— Później panu powiem, ale przypatrz mu się, abyś go nigdy nie zapomniał, bo warto w pamięci zachować takiego jegomości.

Do słupa przykuty, blady, wysoki człowiek z ogromną siwą brodą i z wejrzeniem jak sto tysięcy padalców. Jego włosy rozczochrane, poruszenia konwulsyjne łańcuchami hamowane, jego zgrzytające szczęki, w których jednego nie brakło zęba, jego ciało w lachmanach. Boże! nigdy nic okropniejszego w życiu swoim nie widział, zwłaszcza, że tego człowieka rysy były piękne, jego czoło wyniosłe i szlachetne.

— Do jakiego stopnia obłąkanie zmienia wyraz najpiękniejszej twarzy, postać i ustrój człowieka!—rzecze doktor Donadio jakby do siebie, stanawszy o dwa kroki od tego ogromnego maniaaka, do którego ja nawet o sześć kroków przystąpić nie śmiałem.

— Wiesz kolego, — powie dalej dyrektor, — że ten człowiek był nadzwyczaj przystojnym, jeszcze przed kilkoma laty;—i doda do pacjenta zażywając tabaczkę:—nieprawda Sennor Barra-meda, byłeś nadzwyczaj przystojnym, kobiety cię kochały namiętnie jeszcze przed dwoma laty.

Maniak zgrzytnął zębami, i tak silnie wstrząsnął się w więzach, że aż się marmurowy głęboko w ziemię wsadzony słup zachwiał.

— Wolno! wolno! nie gniewaj się kochań-ciu, — rzecze dalej do maniaaka Don Fadrique Donadio, — a więc mnie rozumiesz dzisiaj? poznajesz mnie dzisiaj? Dalej odpowiedz, dam ci tabaczki.

— Poznaje cię doktorze Donadio, —odpowie maniak chrapliwym głosem, wyciągając skrepowaną rękę ku otwartej tabakierce, bo każdy waryjat przepada za tabaką.

— To źle, że mię poznajesz,— rzecze zimno dyrektor, zamykając tabakierkę i kładąc ją do kieszeni.

Waryjat zawył okropnym wilkołaczym głosem, i zawiesiwszy się rękoma o słup, usiłował nogą bosą dosięgnąć dyrektora w brzuch.

— Ho! ho! dobrodzieju, wolno, bo cię każę oblewać wodą; patrz tam wysoko nad sobą,— znasz ty ten przyrząd kochanie? Woda spadająca z wysokości dwudziestu stóp kroplami na głowę, to niby *nie* — nie prawda? ale ty się djabło tych kropli boisz Don Augusto de Barameda? co? drżysz?

Istotnie przestraszony maniak zaczął drżać na całym ciele, jęczał niemilosiernie i lzy mu padały jak groch z oczu.

* * *

— Ależ kolego, na miłość Boga ukrzyżowanego, czemuż się pastwisz nad tym biédakiem?— rzeknę przerażony i zarazem zgorzony postępowaniem dyrektora.

— Czemu się nad nim pastwię? — powiéd

doktor Donadio, i doda okropnie sarkastycznym głosem:—widzisz, bo go lubię bardzo, ha! ha! ha!

— Nie pojmuję ciebie, zgorzony jestem twoją nieubłaganą ironiją, — rzeknę ze wstrętem.

— Tak, lubię go, i dla tego go drażnię, żeby przypadkiem do rozumu nie wrócił, bo już zaczyna mieć jakieś intervalla lucida, które bywają przepowiedniami uzdrowienia.

— Ale owszem, niechże wróci do zdrowia sobie na szczęście, nauce lekarskiej i tobie dyrektorze na zaszczyt, — rzeknę z zapalem.

— Oh nie! on nie powinien wracać do zdrowia, — powie dyrektor potrząsając głową, — dla niego zdrowie byłoby fatalnym podarunkiem, — nieprawda Don Augusto de Barrameda, że lepiej tutaj umrzeć waryjatem w więzach i łachmanach, niż mieć głowę uciętą przez kata, wbitą na pal i pożartą przez kruka!

Wymownym gestem powtórzył doktor okrutne pytanie swoje, a Don Augusto de Barrameda pojął jego znaczenie, i ryknął jak zraniony lew, aż wszystkie zaszczeły echa okolicznych murów.

— Wystawić sobie jak wygląda na pal wbita

taka głowa, co to nosiła i beret doktorski, i mitrę professorską i kapelusz galonowany z plumażem generalnego oficera zdrowia?—rzecze dalej nieublagany doktor Donadio, a waryjat ją się śmiać szatańskim głosem, i zgrzytał zębami jak workiem orzechów.

— A jakiby to był wstyd dla nas wszystkich lekarzy, dla uniwersytetu, a mianowicie dla *mnie*, dla ucznia, krewnego i następcy twojego, nieprawdaz Don Augusto?

Waryjat w jednej chwili śmiał się, zgrzytał zębami, jęczał, szlochał i wył. Serce mi pękało na ten widok.

Więc lepiej tu będzie umierać w kajdanach i w lachmanach, więc lepiej będzie pójść do grobu tam niedaleko stąd, poddawszy się wprzódy jak najgrzeczniej sekcyi, więc lepiej będzie nosić na swój mogile krzyż Zbawiciela z kamienia wykuty z napisem: — Boże zmiłuj się nad grzesznikiem?

— Litości! litości! trucizny! trucizny!— jękły usta nieszczęsnego.

— Ah! trucizny? — rzecze doktor szpitala obłąkanych w Sewilli, — ah! chcesz żebym ci

podał truciznę? łatwoby mi było zaprawdę, ale ja trucizny nie podam, ja nią nie szafuję tak łatwo, jak ty nią szafowałeś wujaszku; ja niechcę pójść do piekła, jak ty pójdziesz! nie! nie mam litości, nie dam trucizny, ja się boję piekła!

Na całym ciele drżać zaczął męczennik.

— Doktorze na miłość łaskawego Boga, nie trap tego nędzarza; kto on jest? kim on był, powiedz,—rzekłem zgrozą ogarnięty.

— Kto on jest? Numerem 443. Kto on był? Profesorem Barrameda, dyrektorem tego zakładu, poprzednikiem moim,—odpowie doktor Donadio.

— I żadnej litości? żadnej? żadnej?

— Żadnej dopóki żyje, i dopóki na hańbę wystawić może kolegów swoich i krewnych! żadnej! Posłuchaj historyi tego niegodnego syna Eskulapa, a sam przyznasz kolego, że tu żadna litość miejsca mieć nie może i nie powinna. Siądź tu na progu, a ja ci opowiem co to był za człowiek, za potwór.

Ciekawość wzięła górę nad wszystkie inne

względy: usiadłem i słuchałem następującego opowiadania:

* * *

— Przed laty sześciu zjawił się tutaj w Sewilli niezmiernie bogaty, stary i zżółkły Meksykanczyk Don Diego, z bardzo ładną, młodą żoną, która dzieckiem niegdyś wyjechała z Sewilli, z rodzinnego miasta swojego, i potem rozwiniawszy się jak najcudniej w Meksyku, straciwszy majątek i będąc bardzo ubogą, zaślubiła się z starym kolonistą. Donna Flora nie kochała nic a nic Don Diego, to można było przewidzieć, bo sześćdziesięciokilkolletni starzec, żeby był najbogatszym i najprzyjemniejszym, żeby się ubierał jak najstaranniej, mył i perfumował jak najsumienniej, żadnego nie może mieć powabu dla szesnastoletniej kobiety. Ale Don Diego nie po raz pierwszy żonaty, zazdrośny jak tygrys, podejrzliwy i nieufny, nie tyle dbał o miłość młodej swjej żony, ile o pewność, że się nikt z nim nie dzieli używaniem jej wdzięków. Dla tego też otoczył ją Duennami czarnemi, czerwonemi,

śniademi i białemi, nie puszczał jój nigdy nigdzie bez nich, a co najgorsza bez siebie, bez argusa ze stoma ócz, z których przynajmniej pięćdziesiąt bezprzestannie czuwało. Nieprawdaż że takim był stary Diego wujaszku Don Augusto de Barrameda?

Maniak odpowiedział ryczeniem i jękiem, od którego odgłosu ozwali się wszyscy inni maniacy w dwunastu budkach.

* * *

— Lecz Donna Flora nie zasługiwała na tyle nieufności, — rzecze dalej doktor Donadio: — Ta córka Hiszpanii, wychowana w zwrotnikowych sferach gorącego słońca, nie miała w żyłach owój ognistości, którą zwykle w krew wędzają klimat i obyczaje zmysłowe tych krajów. Tak jak nieraz w serce córki północy wkradnie się piekielny żar lubieżności, tak téż nieraz córka południa pozostaje wolną od nagabywań cielesności, i to do tego stopnia, że takie osoby pośród innych wydają się jak nieożywione wiecznym śniegiem pokryte głazy! Do rzędu takich

osób należała piękna, okazała, wysoka, blada i pulchniutka Donna Flora de Tafilanta, jedyna córka generała tegoż nazwiska, spalonego tutaj w Sewilli przez świętą inkwizycją w ostatnich dniach panowania Ferdynanda VII, okrutnego ojca naszej niewinnój Izabelli I.

A piękną była Donna Flora de Tafilanta jak rajski ptak, cnotliwą zaś jak anioł niebieski. Nic zachwiać nie mogło jój cnoty i spokojności duszy, i dla swój matki, która w ostatniej biedzie żyła, zrobiła poświęcenie z swego losu, i poszła za starego brzydkiego tetryka. Nieprawdaż Don Augusto, że taką była Donna Flora, twoja nieszczęsna ofiara? nieprawda, że moja kuzynka Flora, była wzorem cnót i piękności nim się z tobą poznała?

Zgrzytał zębami, jęczał i wył w swych żelaznych pętach straszliwy maniak, i miotał siarczystemi przekleństwami.

* * *

A dalej prawil doktor Donadio, młody dyrektor szpitala obłąkanych w Sewilli:

— Ale po śmierci siostry ojca mojego a matki Donny Flory nastąpionėj w Meksyku, młoda mężatka zachorowała z tęsknoty do swoich, i Don Diego usłuchał rady lekarzy meksykańskich, i przewiózł ją do rodzinnego miejsca, do Sewilli, gdzie w gronie krewnych wkrótce odzyskała zdrowie, i nabrała wesołości do tychezas jėj nieznanėj.

Liczne było owe grono krewnych, a do niego należał nasz powinowaty, pewien znakomity lekarz, professor Uniwersytetu, dyrektor tego tu zakładu zdrowia, obecny tutaj w kajdanach do marmurowego słupa przybity Don Augusto de Barrameda, hidalgo hiszpański najlepszej krwi, prawnuk kommandora Kallatrawy, i to po mieczu, niech mnie piorun trzaśnie.

Bóg nie szczędził ani zdolności, ani piękności kochanemu wujaszкови, ale mu dał brzydką, zazdrosną żonę, i co najgorsza zle serce i poządliwy temperament. Dużo cienia było w tym świetnym obrazie, cienia tajonego, ale grubego, podstępnie wymykającego się z po za chwastów zalegających grunt tego straszliwego charakteru.

Miał wówczas lat około czterdziestu pięciu, i od lat dziesięciu dyrygował tym szpitalem, w którym mieszczą się pośród obłąkanych z obcej winy, szaleńcy własnym zbrodniom zawdzięczający stan ów okropny, w jakim pozostają.

Jeszcze wówczas przepysznie wyglądał Don Augusto! oczy miał wielkie płomieniste, brodę połyskującą czarną, jednym siwym włoskiem nieskażoną, twarz szlachetną, wzrost wysoki wysmukły prawdziwego granda Hiszpanii, jakimi niegdyś byli, a dzisiaj już nie są, dzięki zepsuciu obyczajów, które się wkradło do kraju od głowy, od sfer wyższych towarzystwa.

Carramba! pysznie wyglądał Don Augusto de Barrameda, i spojrzawszy po raz pierwszy na Donnę Florę, którą znał malém dziecięciem, uczuł w sobie ogień pożądliwości do jój świeżych wdzięków i do jój kwadrupłów, których Don Diego przywiózł całe kufry.

Ha! nie wszyscy lekarze tak cnotliwi jak ich opisujesz Don Teodoro w swych pamiętnikach; są i tacy, którzy najmniejszej czci dla świętego powołania medyka nie uczuwają, i przez cały

ciąg sprawowania swych obowiązków przemysłiwają tylko nad sposobami mamienia biednych ludzi, którzy im powierzają zdrowie, życie, a nawet honor, skarb najdroższy naszej istności. Nieprawdziważ, że do tego rzędu lekarzy, ogłoconych z sumienia, i ty należałeś wujaszku Don Augusto? No! dam ci tabaczki, tylko szczerze wyznaj winę.

Maniak wyciągnął rękę ku otworzonej tabakierce, odłamał jej wieko, porywając za niuchla, i razem z tabaką włożył to wieko do ust, i w drobne kawałki pogryzł wraz z tabaką krztusząc się, kaszlając i wydając dzikie jęki.

* * *

— Za nadto mu zawierzyłem, — rzecze doktor Donadio, wsypując tabakę z popsutej tabakierki do świstka papieru, — moja tabakierka padła ofiarą méj ufności; nie tęgi ze mnie lekarz waryjatów. Ha! trzeba opłacić frycowe w każdym zawodzie, będę mędrszym na przyszłość. Ale uśmierzmy zapal kochanego wujaszka, który mię niegdyś w tym samym domu i w tej

samój budzie uczył poskramiać niesfornych maniaków.

I mówiąc to doktor Donadio pociągnął za sznurek, odchylił klapę od beczki z wodą, zawieszonęj u wysokiego szczytu śpiczastego dachu, i krople duże jak laskowe orzechy spadać zaczęły w rozpaczliwie regularnych odstępach na wijącą się głowę maniaka.

Trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego, jak męczarnie owego do słupa przykutego maniaka; na wszystkie strony obracał głowę, ale wijąc się i targając, wyminąć nie zdołał nieublaganęj kropli, kulą spadającęj na jego wylysiałą czaszkę.

Uniesiony litością, wyrwałem dyrektorowi sznurek z ręki i zapadła klapa; razem z nim ustał mokry dęszcz, boleśniejszy od wszystkich ognistych dęszczów.

* * *

— Czekaj, czekaj kolego, jak wysłuchasz opowiadania mojego, to się nie będziesz litował nad tym godnym kolegą, tylko sam otworzysz

klapę, i prosić mnie będziesz, abym jój nigdy nie zamykał.

Ale dalej do naszej historii. Więc pan professor zoczywszy Donnę Florę, zapalił się wie-
my już do czego, do jednego i do drugiego. Ale się umiał maskować, i to prześlicznie; udzielił swe rady jako lekarz, przyjął honorarium, lubo był powinowatym, i dość skąpe i krótkie oddawał wizyty, wymawiając się zatrudnieniem, pracą naukową, zaręczając, że i bez jego rady pacjentka wróci do zdrowia. Słowem, umiał się podobać Don Diegowi ze strony swego światła i charakteru, zyskał jego zaufanie w wysokim stopniu, mianowicie za to, że z pacjentką i powinowatą swoją nie starał się wchodzić w owe poufale zażyłości, których sobie bardzo często pozwalają niektórzy lekarze w krajach, w których o prawdziwej estetyce pożycia ludzkiego jeszcze nie ma zdrowego wyobrażenia.

I dobre mu dawał mój wujaszek rady co do ulokowania kapitałów swoich, co do prowadzenia żony i urzędzenia domu; nadto napominał go, żeby się strzegł nowych znajomości, zwłaszcza młodych ludzi. bo ci nie szanują ani spo-

kojności domu, ani sławy młodych kobiet, i często bardzo stają się powodem ciężkich zmartwień, zwłaszcza dla ludzi w pewnym wieku, posiadających już zdrowe wyobrażenie o wartości życia ziemskiego; nie tak nieznośnego, jak się zdaje, zwłaszcza dla majątnych, wytrawnych ludzi, którzy żyć umieją mądrze.

Jakże też szczerze uściskał Don Diego, przytomnego tu Don Augusto, i jakżeż go błagał, żeby przynajmniej co drugi dzień go odwiedzał, nawet mu wręcz zapowiedział, że mu podwoi honorarium, i że mu wyznacza na rok pięćdziesiąt uncyj złota honorarium, byleby tylko co drugi dzień bywał u niego, najregularniej od ósmej do dziewiątej godziny.

(Pięćdziesiąt uncyj złota, jest około sześciu tysięcy złotych polskich).

Przystaje Don Augusto, ale z pewnym warunkiem; wolę się temu poddać raczej z przyjaźni, jak dla jakiej tam zapłaty. Ale Don Diego nalega i doktor przystaje na wszystko.

Czy myślisz kolego, że Sennor Barrameda spuścił chociaż na chwilę z oka wdzięków Donny Flory, i z wężu pieniędzy Don Diega? oh!

nie mył się; wiedział on ile ich jest, gdzie umieszczone i gdzie najlepsze. To bardzo dobrze przenikł, że będąc już czterdziestokilkuletnim małżonkiem, ojcem kilkorga prawie dorosłych a nie ładnych i nie szczególnie ułożonych córek, nie potrafi zdobyć bezpośrednio serca młodej, rozsądnej i jeszcze nigdy nierozromansowanej kobiety. Więc pośrednio umyślił zdobyć wszystko, i ukartował sobie planik godny swój szatańskiej główki i wedrzeć się postanowił do kufców, serca, i wszędzie drogą utorowaną przez innego.

Nota bene pieniędzy bardzo potrzebował Don Augusto, bo brzydka żona na wielkie wydatki wystawiała ognistego męża; nieprawdaz wujaszku?

* * *

— Więc jednego pięknego rana, następująca odbyła się rozmówka pomiędzy Don Diegiem, Donną Florą i Don Augustem.

— *Don Augusto*. Jakieś dziwne wzruszenie w twoim pulsie, kochany Don Diego; musiałeś

niespokojnie noc przepędzić; ależ i pani puls dość niespokojny Donna Floro, ho! ho! ho! Don Diego, medium tenerunt beati! sancta moderatio, święte umiarkowanie.

— *Don Diego*. Patrz, jak się poznał od razu na wzruszeniu w naszych pulsach; oh! świętny to doktor Donna Floro, to skarb uczoności, on mi przedłuży życia może do stu lat, jak mi przepowiedziała owa cyganka. Ale co do powodów tego wzruszenia, to się mylisz doktorze! oh sancta moderatio! lubo quoad tentationem *to* niebraknie jak to wnosić możesz i powinienes z dobrego stanu sił moich, i z kwitnących wdzięków méj małżonki. Lecz czynię to właśnie dla niéj, dla méj ukochanéj Donny Flory, celem uszanowania jéj zdrowia; chcę ją widzieć długo zdrową i kwitnącą, a wiem, ile castitas wpływa na przechowanie wdzięków.

— *Donna Flora*, ruszywszy pogardliwie ramię, — rzekła: Ave Maria purissima!

— *Don Augusto*. A zatém coś innego musiało zaskoczyć, ale koniecznie musiało, bo puls to wyjawia.

— *Don Diego*. Istotnie zaskoczyło, opowiem ci

doktorze wszystko, bo potrzebujemy rady twojej. Wczoraj byliśmy na walce byków z Florą i z jedną z jej towarzyszek. Zabraliśmy miejsce w numerowanych krzesłach tuż pod lożą królewską. Rozpoczyna się widowisko. Już powalono dwóch byków, i ciury cyrkowi zatrudniają się wyprzątaniem zabitych koni i rannych taureadorów z areny, gdy nagle jakiś anglik, oczywiście pijany do mnie się zbliża, i ukazując mi na kartce drukowany numer mojego krzesła, żąda odemnie abym mu ustąpił miejsca. Ja przekładam, że to miejsce zakupiłem wraz z dwoma przybocznymi. On utrzymuje, że to się stało chyba przez pomyłkę, i że na tém szkodować wcale nie myśli. Przyszło od słowa do słowa, wreszcie ów gbur chwycił mię za kołnierz, i chciał mnie wyrzucić z krzesła. Myślałem że mnie djabli wezmą ze złości i wstydu: Flora wydała bolesny okrzyk, i jakoby na jej odgłos jawi się pomoc; jakiś młodzian także cudzoziemskiej, ale sympatycznej miny przypada, porywa Anglika za piersi z takim impetem, że ten traci równowagę i pada; z tego korzysta mój wybawca, wlecze go aż pod bandę odgraniczającą wi-

dzów od areny, i przy pomocy kilku innych na jego skinienie przybyłych młodzianów, wrzuca go w arenę, do której właśnie byka wpuszczono. Mój Anglik zorientowawszy się, drała w nogi na najodleglejszy koniec areny, chować się za Pikadorów i Alguazilów; publiczność, która na wszystko patrzała, i z bystrością Sewiljańczyków znamionującą, wszystko pojęła, rzesistemi oklaskami wynagrodziła zwycięzcę. Mnie też wypadało podziękować wybawcy, który się tak szlachetnie za mną ujął, i dokonawszy dzieła wrócił na swe miejsce, na krzesło tuż za mną. Przyjął to podziękowanie z szlachetną miłą człowieka nie poczuwającego się do żadnej zasługi, czém mnie jeszcze więcej ujął, a nawet oczarował.

Poprosiwszy go na czekoladę po przedstawieniu, dowiedziałem się, że jest Francuzem z dobrego rodu, wychowany w płochościach przez pieścącą go, bardzo dostojnego rodu matkę; że przehulawszy znaczny majątek, myśli go odzyskać pracą; że się rzucił do handlu i przebiega jako komiwojażer bławatny wszystkie bogatsze miasta Hiszpanii dla uzyskania

obstalunków; nareszcie dobywszy swój bilet wiytowy ofiarował mi wręcz swoje usługi jako komiwojażer utrzymując, że tak świetnie piękna kobiéta, jak moja żona, powinna się ubierać jak królowa; a nakoniec nie czekając odpowiedzi pobiegł żywo, jak prawdziwy Francuz, za jakimś Sennoritami, które go wabiły na Alamedę.

— *Don Augusto*. A jak wygląda ten Francuz?

— *Don Diego*. Jak wygląda? Dość wysoki, pięknie a mocno zbudowany, bardzo miły...

— *Don Augusto*. Ale jakie ma oczy, jakie włosy, jakie zęby, jakie nogi i ręce; to już zapewne Donna Flora lepiej spamiętała te szczegóły.

— *Donna Flora*. Ave Maria purissima! cóż Jegomość myślisz, żebym ja Francuzom miała zaglądać w oczy i w zęby.

— *Don Augusto*. Ale miał oczy?

— *Donna Flora*. Ciemno niebieskie.

— *Don Augusto*. Włosy?

— *Donna Flora*. Ciemno-blond.

— *Don Augusto*. Zęby?

— *Donna Flora*. Wszystkie zdrowe.

— *Don Augusto*. Ręce i nogi?

— *Donna Flora*. Drobne i kształtne zdaje się.

— *Don Augusto z miną tajemniczą, troskami brzemienną, i do siebie mówiąc półgłosem*: Tak niestety nie myślę się. Szkoda walecznego młodzieńca. Ale pokaż mi Don Diego jego bilet wizytowy, — Emil de Beauregard! — Ha! ani słowa, *to on*, Emilem go nazwali sekundanci.

— *Don Diego*. Kto taki na miłość Boga? Kto taki? Jezus! Maryja! Józefie Święty! miałby to być jakiś człowiek podejrzanéj religii? to może heretyk, albo nawet komunista.

— *Don Augusto*. To najlepszy człowiek w świecie, bardzo lekki, ale honorowy jak Hiszpan, i mężny jak lew. Tylko, że w téj chwili leży, przekluty na wylot przez owego Anglika, od którego was wczoraj oswobodził.

— *Donna Flora*. Ave Maria purissima mi padrona!

— *Don Diego*. Sant Jago di Compostella mi padron!

— *Don Augusto*. Tak jest nie inaczej. Tego rana, zawołano mię niby do chorego do klasztoru Mariawitów, a tam się w ogrodzie zaraz po moim przyjsciu bito na szpady: jakiś ogromny An-

glik z Francuzem średniego wzrostu zwinnym i nadzwyczaj zręcznym. Anglik został rannym tu i owdzie razy kilka ale nie głęboko, ale naraz pada Francuz, przeszyty z boku nad wątrobą zupełnie na wylot. Rysopis dany mi przez Donnę Florę w zupełności przypada na niego, i przypominam sobie, że go nazwano imieniem Emila. Teraz leży w samym klasztorze, z którym zdaje się, że Francuzi tutaj mieszkający w bliskich żyją stosunkach.

— *Don Diego*. I takim sposobem staliśmy się przyczyną śmierci naszego bliźniego?! O święty Filipie z Alkantary, i święty Jacku z Kallatrawy! moi podpatronowie.

— *Donna Flora*. Ave Maria purissima, concebida sim peccado! Don Diego zakupuj msze na jego intencyją: przynajmniej dwanaście cichych i sześć wotyw; czém prędzej na leb na szyję leć do kościoła.

— *Don Diego*. Lecę Donna Floro o bogobojna małżonko moja! leczę właśnie do Mariawitów, gdzie leży ten biędny Francuz, już zapewne konający.

— *Don Augusto*. Jeszcze wszelkiej nie tra-

cę nadziei, lubo jest w bardzo niebezpiecznym stanie, to przyznać muszę. Może téż z łaski Najwyższego za waszém usilném wstawieniem się, i z moją pomocą, wybrnie ten młody, silny i zdrowy człowiek z tego okrutnego położenia. To jeszcze szczęście, że tak na wylot przedziurawiony, że krew odpływać może na zewnątrz i z wewnątrz płuc nie gniece. Musiałem mu puścić krew, zaprowadzić skubankę w ranę z przodu i z tyłu; walczę jak mogę przeciw grożącój mu śmierci, znam wszystkie nowożytne sposoby chirurgiczne. Boże! jeśli się uda ocalić tego biednego, zacnego człowieka, to Tobie Jedynemu przypiszę całkowitą zasługę i chęlcie się nie będę z dzieła swojego. Zresztą wszystko to musi być pokryte nieprzejrzaną zasłoną tajemnicy, bo pojedynki u nas srogo zakazane, jak to państwo wiecie.

* * *

Don Diego dał na mszę na intencyją raniego, piękna Donna Flora modliła się za niego, Don Augusto leczył go, i już od téj chwili co-

dziennie przychodził składać raporta o zdrowiu pana Emila de Beauregard, szlachcica francuskiego, który się tak bohatersko ujął za honorem starego Meksykańczyka.

Wzmagala się w czulém sercu Donny Flory, a nawet w skrzeplėj duszy Don Diega litość dla młodego Francuza, który tak okrutnemi mękami musiał przepłacić usługę bliźniemu oddaną; wzmagala się litość, zwłaszcza, że Don Augusto codziennie przybywał z serce wzruszającemi wieściami od młodego Francuza, który w srogich cierpieniach najlepszym się pokazał chrześcijaninem, i modlił się nie tylko za duszę swoją, lecz nawet za duszę zabójcy, a na domiar cnotliwych uczuć, nie zapomniał o tych, którzy się stali niewinnemi powodami jego nieszczęścia, nie zapomniał o Don Diegu przezeń wybawionym ze szponów srogięgo Anglika.

— Ach Don Augusto, serce moje napelniasz najżywszą radością! — wołał z zapalem stary Meksykańczyk, egoista, jak drugiego nie było ani w Europie, ani nawet w Ameryce. — Ach Don Diego! ja wiem jak są skuteczne modły ko-

nających, idą prosto do nieba, byleby tylko konający nie uzdr....

Zaciął się stary samolub, a Donna Flora pojmując co miał w myśli, rzekła żegnając się:

— Ave Maria purissima, concebida sim peccado! coś panu zapokutowało złego w duszy Sennor Don Diego?!

* * *

A później powolusieńku, powoli wracać zaczął Emil de Beauregard do zdrowia, co dzień lepiej o nim wróżył Don Augusto, już się zaczął poddawać nadziei, już się śmiał ludzi pewnością; już się cieszy prawdopodobieństwem pewności, Viva Sant Jago de Compostella! już ma pewność, już dźrzy w swoim ręku niezawodność. A wreszcie monsieur Emil de Beauregard, syn wice-hrabiego już się przechadza po ogrodzie klasztoru Mariawitów; w tych a w tych godzinach, można go widzieć wybladłym, znękanym, z twarzą natchnioną, zwróconą ku niebu modlącym się z rzewnością.

Don Diego i Donna Flora patrzą nań z zaskoczeniem, i uznają go pół świętym, i niczego więcéj

nie pragną jak widzieć go raz w swym domu wynurzyć mu swe żale, wdzięczność, polecić się modłom jego i nakłonić go aby został zakonnikiem, i rozpoczął żywot tak święty jak niegdyś dokonał po ranach i boleściach Ignacy de Loyola.

I to im dane było. Błady, lecz piękny Emil wstąpił w strzeżone progi starego Meksykańczyka otoczony urokiem cierpień i świętości. Przyjmuje ze łzami w oczach czule oświadczenia wdzięczności i przyjaźni, błogosławi, wzrusza, buduje, podnosi, zachwyca, lubo bardzo łamanym językiem po hiszpańsku przemawia.

Owe schadzki odbywają się tajemnie, z wielką ostrożnością, w przytomności obecnego tu, do słupa przykutego potwora.

A wszystkimi krokami mniemanego Emila de Beauregard kieruje niegodny przyjaciel domu, z sumienia wyzuty kuzyn, bezczelny lekarz, fałszywy bigot, obecny tu Don Augusto de Barameda i systematycznie psuje duszę kuzynki swojej przez trzecią osobę, aby mógł później osiągnąć jęj rękę i pochłonąć majątek.

* * *

Bo kimże właściwie był ów mniemany Emil de Beauregard?

— Awanturnikiem, o jakich we Francyi nie trudno, awanturnikiem gotowym cię bronić do upadłego, a w potrzebie zabić w pojedynku, gotowym ostatni grosz dla ciebie wydać aby cię ufetować, a w potrzebie gotowym cię odrzucić z życia i z honoru.

Emil de Beauregard nazywał się po prostu Jaques Fiffagnac, był rodem z Gaskonii, służył przez lat kilka w wojsku jako huzar i woltyżer a potem wyuczywszy się mustry, fechtowania, jazdy konnej, fanfaronady i tysiąca figlów, przeszedł na aktora, i przez parę lat zachwycał publiczność drugiego rzędu swą szaloną wesołością i nieporównaną werwą.

A razu jednego wystąpił na scenę polityczną, jako zacięty nieprzyjaciel istniejącego porządku, i teoryje swoje wykładał na barrykadzie prochem i ołowiem.

Inny awanturnik, jakiś dawny kapitan artylerji szwajcarskiej, odniósł wówczas zwycięstwo; Jaques Fiffagnac musiał ustąpić z francuskiej sceny i uciekł do Hiszpanii, gdzie doświad-

czywszy nader rozmaitych kolei losu pod różnymi nazwiskami i w niejednym zawodzie, zawąłęsał się nareszcie do Sewilli, i przypadkowo zaraz w pierwszym dniu pobytu zapoznał się z Don Augustem. Czujny, przytomny, chytry intrygant natychmiast poznał, jakie ogromne może wyciągnąć korzyści z talentów tak przystojnie wyglądającego awanturnika, i umyślił go użyć do przeprowadzenia swoich podstępnych celów.

Nie bardzo trudno było nakłonić Francuza, spragnionego pieniędzy i awantur miłosnych, do zbałamucenia jednej z najpiękniejszych kobiet Sewilli; wprawdzie nie będąc z gruntu złym człowiekiem, nie mógł pojąć dla czego Don Augusto pragnie dokonać tego dzieła popsucia, ale chytry lekarz wmówił w Gaskończyka, że to jego pięknej ale za nadto enotliwej pacjentce niezbędnie potrzebne do odzyskania zdrowia, i do *uzyskania praw dziedzictwa* w razie bardzo łatwo nastąpić mogącej śmierci starego a skąpego Meksykańczyka.

Teraz pojął Gaskończyk i przypomniał sobie, że podobną usługę musiał niegdyś oddać Antenor jakiejś damie w Sparcie; nawet mu

przyszło na pamięć, że nie jednemu Francuzowi wydarzyło się coś podobnego w Niemczech za dawnego cesarstwa.

Nader był dumaym z wyboru Don Augusta, i spoglądając z wyrazem nietajonego zadowolenienia w zwierciadło, rzekł:

— Ma foi Don Augusto, nie mogłeś wybrać na odrodziela Meksyku piękniejszego człowieka, tę sprawiedliwość oddać ci muszę.

I zaprzął się sprosny Francuz do haniebnego dzieła korrupcyi z wielką ochoczością. Do uzyskania wstępu do niegościnnego domu Diega, potrzeba było wyświadczyć mu jakąś ważną usługę; więc odegrano na cyrku ową bohaterką komedyją z mniemanym Anglikiem, który w istocie był Niemcem, i za pieniądze dał się przed publicznością wyszturchać i wrzucić do areny. Pojedynku, jak się łatwo domyśleć można, wcale nie było, a podczas mniemanéj kuracyi na ranę odniesioną w pojedynku, Monsieur Jacques Fiffagnac brał dla wiadomych mu przyczyn Roob Laffecteur, i poddał się głodnéj kuracyi, z wielu powodów potrzebnej do dokonania dobrego dzieła.

Teraz wiész kolego kim był ów uroczy Emil de Beauregard, którego ten oto zbrodzień wprowadził do domu cnotliwój, spokojnój Donny Flory, aby jój wydrzcć cnotę i spokojuność.

* * *

— To jest smutną, aż zanadto niezaprzeczoną prawdą, że litość chrześcijańska w sercu młodój kobiety, powzięta dla młodego człowieka, łatwo się przemienia w jakieś tkliwsze uczucie prowadzące do namiętnych pragnień; a to jest jeszcze smutniejszą i na nieszczęście pewną prawdą, że serce najlepiej strzeżone przez religiją, wstydlivość, uczucie swych obowiązków i przyzwoitość, bardzo często ulegnie wpływowi drażniacój namiętności, spotęgowanój przez intrygę logicznie przeprowadzoną, i przez okoliczności umyślnie sposobność ułatwiające.

Samemu wpływowi zręcznie z szatańską logiką wznieconój miłości, byłaby Donna Flora nie uległa, lecz oprzcć się nie zdołała podstępnej taktyce, jaką przeciw jój honorowi wymierzył niegodziwy lekarz, przyjaciel domu i krewny.

Tak niestety! walczyła z sobą, jak lwica z owym węzem co go nazywają Boa constrictor, a nareszcie wyszedłszy zwyciężko z kilku potyczek, upadła w czwartą czy piątą, tak zupełnie jak tylko upaść można. Sennor Barrameda czuwał nad tém dziełem popsucia, nasuwał okoliczności bawiąc starego Meksykańczyka, którego nieufność najzupełniej uspić zdołał, cieszył się upadkiem owęj kobiety, którą postanowił zaślubić, potem umiejętnie hamował zapalę uwodziciela, *aby czyny jego bezowocowo nie przeszły*; później postarał się o dowody piśmienne, aby w następstwie czasu mógł wystąpić z niemi, nareszcie upewniwszy się, że już dzieło dokonane i skutek niezawodny....

* * *

— I cóż myślisz kolego, co się później stało? — spyta doktor Donadio przerywając sobie mowę.

— Nie zgaduję, tylko to wiem, że jakoś mi się w głowie mać, przewiduję nową jakąś szkaradną zbrodnię.

— I nie mylisz się bynajmniej, bo istotnie jednego poranku, jeszcze bardzo rano Don Augusto przybył do domu Meksykańczyka, z wyrazem głębokiego zmartwienia na twarzy, a wypytany o przyczynę tego, oznajmił z wielką ostrożnością, że téj nocy biedny Emil musiał uciekać do Portugalii przed policją więzić go chcącą i przykładownie ukarać za zbrodnię pojedynkowania się w obrębie murów klasztornych.

Don Diego żałował rycerskiego Francuza, który w cierpieniach tak się szczerze nawrócił do Boga. Donna Flora nic nie mówiła, bo okropnym bólem przeszyla, oniemiała.

— Ale przecież będziecie się listownie znośić z sobą mój zacny doktorze? — zapyta Don Diego Don Augusta.

— A rozumie się, pomiędzy nim a mną przyjaźń zawarta na całe życie; nie znałem nigdy zacniejszego człowieka, — odpowie Sennor Barameda.

— Więc racz mu przesłać przy pierwszej sposobności zapewnienie, że go nie zapomniemy w naszych modłach, ani rannych, ani południo-

wych, ani wieczornych, ani nawet nocnych, —
rzecze dalej Don Diego.

— Bardzo ci dziękuję o religijny i dobroczynny Sennor Don Diego za tę szczodroblliwość twoją, ale możeby warto było przesłać dobremu Emilowi cokolwiek pieniążków, bo on bardzo biędny w téj chwili, podupał zupełnie w skutek długiej choroby, która mu nie pozwalala oddawać się żadnemu zatrudnieniu; a przecież cierpienia swoje poniósł w obronie honoru twojego Sennor Don Diego.

— A to inna kwestyja Sennor doctore! lecz ja znam kodeks honorowy bardzo dobrze, i wiedząc że Emil jest zaszczytnym, dobrze wychowanym i szlachetnym młodzieńcem, boję się obrażać go jakim datkiem pieniężnym, bo podobne honorowe usługi i zasługi tylko się, że tak powiem, kalają, niszczą, wymazują z serca nadgroda pieniężną. Ale jeżeli jednakże parę uncyj??...

Don Augusto spojrział nadzwyczaj zimno i szlachetnie na Don Diega, i natychmiast na miejscu zmienił przedmiot rozmowy.

Dobrze to zauważyła Donna Flora, w jaki sposób i dla czego Don Augusto zmienił tok ro-

zmowy, i wstydząc się nieszlachetności małżonka swojego, załała się żywym rumieńcem, który nie uszedł bystrego oka Don Augusta. W długą wdał się rozmowę z Don Diegiem i znalazł, że jego puls od pewnego czasu bardzo mocny, oczy nadzwyczaj żywe i cera zdrowa.

— Zakwitłeś nam jeszcze raz jeden, tak jak niektóre drzewa kwitną w jesieni, — rzekł zręczny doktor do starego zeschłego pacjenta, i temi słowy wmawia weń nieposiadane siły i zdrowie, wzbudza w nim niesłychanie dobry humor.

— Ale od pewnego czasu małżonka twoja jakoś blada i smutna, — rzecze dalej doktor do pacjenta półgłosem, odprowadzając go na bok.

— I ja to zauważyłem, i nie wiem czemu to przypisać; wybadaj ją, bardzo cię proszę, ja tymczasem pójdę wyszukać kilka kwadrupłów dla biédnego Emila de Beauregard; ale właściwie to nie moja wina, że się pojedykował z tym gburem angielskim, mogło się bardzo dobrze obejść bez wszelkiego pojedynku, bez tego przelewu krwi. No idź pogadaj z donną Florą.

* * *

— Pani! trzeba przyjść w pomoc temu biédakowi Emilowi, — rzece wręcz doktor do Donny Flory; — ach! gdybyś wiedziała jak on płakał, jak rzewne łzy wylewał udając się do téj ubogiej Portugalii; widać że się lękał biedy; a wszystkie fundusze wyczerpane; podczas téj długiej choroby nie mógł się zajmować swemi interesami, musiałem mu pożyczyć pieniądze na drogę, a pani wiész, że ja wiele nie jestem w stanie zrobić, i moje fundusze ograniczone, żona ciągle słaba, córek wychowanie bardzo wiele kosztuje. Ah! biédny to chłopak ten Don Emilio; we Francyi prześladowają go za jego wierność dla Burbonów, tutaj w Hiszpanii zagroził sobie drogę tym nieszczęsnym pojedyńkiem. Trzeba coś zrobić dla niego koniecznie, to jest świętą powinnością waszą; Bóg wam nie skąpil darów bogactwa, użyjcie ich po chrześcijańsku na dobro tych, którym winniście wdzięczność. Donna Floro, mizerynych kilka uncyj złota, to nie dosyć dla człowieka, co przelał dla was tyle krwi i tyle zniósł boleści. Błagam cię Donna Floro, ty masz szlachetne serce, ulituj się nad szlachetnym cudzoziemcem.

Donna Flora wyglądała jak osoba przerażona, płakała z żalu, rumieniła się ze wstydu, i narreszcie uspokoiwszy się, rzekła:

— On płakał opuszczając Sewillę, płakał z bojaźni biedy, jak mówisz Don Augusto? Boże! jak mi to rozrywa serce, że tak świetny człowiek do takiej nędzy przyprowadzony. Skapstwo Don Diega oburza mnie; ja bym poświęciła ostatni marawedis dla tak dobrego przyjaciela; ależ na miłość Boga, ty znasz moje położenie doktorze; wiesz, że mi Don Diego żadnych nie powierza funduszów, że mi wydziela uncyją po uncyi na ubiór, i nawet z bojaźni że bym zanadto nie wydawała, nie pozwala mi się zajmować gospodarstwem w domu, tylko sam się niem trudni. Ja nie mam pieniędzy!

— Ale masz drogocenne brylanty; zastaw ich część i prześlij biędnemu Emilowi dobrą kwotę, którą będzie mógł rozpocząć zyskowną jaką spekulacyją w Portugalii.

— Brylanty? to prawda, mam drogocenne brylanty, lecz wszystko to są dary małżonka mojego, i wiesz jak on lubi, że bym się w nie ubierała przy każdej sposobności na bale, w te-

atrze, na gonitwach i w cyrku; — rzekła Donna Flora, staczając walkę z własną obawą i z litością, którą w niej wzbudzał smutny los *ukochanego* cudzoziemca.

— Donna Floro, — powie Don Augusto, wtopiwszy bystre oczy swoje w twarz młodej mężatki, — Donna Floro, zdaje mi się, że chyba dopiero za jedenaście miesięcy lub za rok będziesz miała sposobność występować w brylantach.

— Skąd to muiemanie? — rzeknie z przerażeniem żona starego Meksykańczyka.

— Donna Floro! czemuż to przerażenie, właśnie w chwili, gdy najżywsza radość powinna cię przejmować? Ale może nie umiesz sobie zdać sprawy z stanu twojego, w którym jesteś po raz pierwszy?

Flora milczała i drżała na całym ciele.

— Czemuż ten przestrah Donna Floro? czy nie wiiesz, że ziszczasz najgorętsze życzenia twego szanownego małżonka? On niczego nie pragnął więcéj, jak widzieć się odrodzonym w potomku, *w krwi swojej*.

Flora zbladła jak trup, kolana załamały się

pod nią, usiąść musiała. Zimny pot występuje na jój twarz.

— Na Boga, takie wzruszenia mogą się stać fatalne dla płodu, który nosisz pod twém sercem, a dopiero ten płód zabezpiecza ci pewność lepszej przyszłości,—może o'tém nie wiesz Donna Floro? Winszuję ci z serca, oddawna tego pragnąłem. Ale teraz wróćmy znów do Emila de Beauregard. Donna Floro, idź za przykładem naszych bogobojnych matek, na czas ciąży przywdziej suknie zakonne i zamknij się z mężem w jakimś ustroniu; przecież macie wilę z przepysznym ogrodem na przedmieściu. Nie będziesz potrzebowała brylantów na cały ten czas, możesz mi je tedy powierzyć, a ja niemi wydobędę przyjaciela z toni.

* * *

I uniósł brylanty wartujące przynajmniej z dziesięć tysięcy dollarów, aby ich ceną wyposażyć biednego Francuza leżącego.... ah! dowiedziałem się później gdzie leżał; Don Augusto wié gdzie leżał, patrz! jak mu się iskrzą szkaradne, krwią zaszle ślępie.

A potem, gdy uniósł brylanty, znów wrócił do Don Diega, i z wyrazem najwyższej radości, obejmując go ramionami, rzekł doń:

— Don Diego! spiesz do żony swojej i padnij przed nią na kolana; wystaw sobie, ona jest w błogosławionym stanie, i sama o tém nie wiedziała; ah cóż za niewinność! Don Diego raduj się! będziesz ojcem!

O szczęściu starego skąpca nikt sobie nie zdola zrobić wyobrażenia; dobrze że nie oszalał, a z wielkiej radości dał Don Augustowi dla Emila nie cztery uncye złota jak zamierzał, lecz dziesięć.

* * *

I wszystko poszło prawidłowo, najpiękniej, najregularniej, jak sobie tylko życzyć mógł genialny doktor Barrameda.

Donna Flora powiła przepysznego synka. Don Diego z ciągłego zachwycenia i żywój radości w miesiąc potem nagle umiera, a potem także w miesiąc i jakoś także bardzo nagle żona Don Augusta umiera, a nareszcie po stoso-

wnym odstępie potrzebnym na oficjalne odbycie żałoby, Don Augusto żeni się z przedziwnie piękną, młodą, miljonową Donna Florą, wyjeżdża w podróż do Włoch, do wysp Kanaaryjskich, bawi się, ale wraca, i co wszystkich zastanawia, znów obejmuje swe obowiązki w szpitalu obłąkanych; nawet z swą piękną żoną mieszka w tym szpitalu, w tym budynku, w obrębie którego dyszy do dziewięciuset chorych, niechlujnych ludzi.

Nikt pojąć nie może dla czego doktor Barrameda, który za żoną swoją wziął z milion posagu, który żyć może wygodnie nie pracując, dla czego doktor Barrameda poddaje się tak uciążliwym obowiązkom dyrektora szpitala obłąkanych.

Ale, mieszkanie bardzo piękne, wygodne i bezpieczne w tym szpitalu do więzienia podobnym, a Don Augusto od czasu jak ma bardzo piękną żonę, stał się zazdrosnym; od chwili zaś, gdy jest majątnym, staje się chciwym.

Piękne wygodne mieszkanie, w którym łatwo można upilnować żonę, przytém tysiąc piastrow rocznego dochodu, i to nie jest fraszką

nawet dla milionowego pana, a milionowi panowie już zasmakowali w groszu, już pojąć nie zdołają, jak można żyć bez posiadania, duszenia i powiększania majątku.

I tak przez majątek jeden staje się zwierzęciem, a drugi drapieżnym zwierzęciem. A tak przez łatwo zdobyty majątek, jeden odstąpi od litości, a drugi nawet najmędrszy od wszystkich zasad rozumu, którymi się dotychczas rządził. Otóż chciwość, chciwość haniebnie drobnostkowa stała się przyczyną zguby dla tego potwora, który dotychczas przeprowadzał swoje zbrodnie na tak wielką, okazałą skalę, iż się nikt nie mógł domyśleć, że je popełniał. Otóż to prawdziwe przekleństwo, które na człowieka sprowadza straszliwa chęć posiadania więcej, niż mu potrzeba do spełnienia na ziemi godnie tego krótkiego żywota; otóż to przyczyna zguby nie jednej istoty prowadzącej aż do dojrzałego wieku cnotliwe życie.

Ja byłem w ówczas adjunktem tego szpitala, skąpo płatym, mężem i ojcem kilkorga dzieci. Z jego siostrzenicą się ożeniłem, on mię wspomagał dopóki sam żył z zarobionego grosza,

i miał serce dla tych, co się ucierali z losem. Lecz skoro raz szatany pożądliwości i chciwości zakłócały w serce jego, głuchym się stał na cierpienia bliźnich, a gdy raz dopiął celu pragnień swoich, wówczas pogardzać zaczął tymi, którzy w walce z losem nie pokazali się zwycięzcami.

Czyhałem na to miejsce dyrektora szpitala obłąkanych, przyznać to muszę; usposobienie moje naukowe, zasługi, pokrewieństwo z bogatym wujaszkiem dawały mi do tego prawo; on nie miał już względu dla swego siostrzeńca, spoglądał na mnie, jak orzeł na niegodnego gada, od chwili gdy się źle zdobytym groszem wzniosł po nad sferę poczciwie pracujących ludzi. Nawet mnie powolusienko wydalil z domu swojego, bo już go razil widok potrzebujących, już wolał żyć i bratać się z szczęśliwymi synami ziemi, do których nie przejdzie żaden jęk niedoli, żadna skarga, żadne westchnienie. Za niego pełniłem jednakże całą służbę w tym ohydny dom zdrowia, i kiedy on się wylegał swobodnie w swój werandzie, ja musiałem ra-

dzie ośmiolet obłąkanym, których stan codziennie się zmieniał.

* * *

Wówczas to wtargnął do szpitala obłąkanymi straszliwy tyfus, panujący epidemicznie w całym mieście. Ofiary padały za ofiarami, codziennie po kilkadziesiąt trupów wynoszono z tego domu, i zakopywano ich bez trumien i błogosławieństwa na okolicznych polach. Śmiertelność do tego stopnia ogarnęła mieszkańców tego zakładu, że nawet biedni waryjaci spostrzegli się na ubytku swych współtowarzyszów, i z smutkiem serce rozrywającym odzyskując w chwili ogólnego niebezpieczeństwa część instynktu własnego zachowania, spoglądali na siebie jak skazani na śmierć, żegnali się z sobą, modlili się z szczerą rzewnością, jaka zwyczajnie nie dana obłąkanym.

Nigdy w życiu swoim więcej nie cierpiałem; widziałem w tym nieszczęściu jakiś wyraźny palec Boski, jakieś ożywcze siły, które pozabawiając życia, przyprowadzały nie jednego, za

zupelnego idjotę uważanego, chociaż na chwil kilka, do uznania duszy swojej, do przytomności, do zdania sobie sprawy z swych uczuć, myśli, a nawet ostatnich powinności względem Boga.

Nieubłagana śmierć szerzyła się w tym domu z coraz większą zajadłością; w dni piętnaście umarło dwieście obłąkanych, drugie tyle leżało w infirmeryi, i roznosiło zarazę na resztę ludności.

Pan dyrektor zagnany nieodzowną potrzebą, musiał wyjść z swój werandy i poświęcić się usłudze publicznej; musiał nawet przybrać dwóch doktorów z miasta do radzenia chorym, których liczba ciągle się powiększała do tego stopnia, że rada lekarska miejska zwróciła uwagę na tę zastraszającą śmiertelność ogarniającą cały zakład, i grożącą mu zupełną zagładę.

* * *

— Pomiędzy naszemi idjotami, którymi się posługiwaliśmy przy pracach w ogrodzie, był jeden atletycznie silny człowiek, który w skutek

uderzenia w głowę, stracił mowę i rozum, ale nie stracił słuchu, ani sił, ani pewnej, raczej zwierzęcej, jak ludzkiej pojętności.

Ten człowiek jadł za czterech, ale pracować umiał za sześciu ludzi, gdy szło o jaką pracę, wymagającą wielkiej siły muskularnej, i jedy-
nym był do przesadzania drzew, do kopania sadzawek, do przenoszenia wielkich ciężarów.

Ale nareszcie i Mudo (tak się nazywał ów idjota) zapadł na panującą chorobę, i zanieś-
nym został z ogrodu do infirmaryi, gdzie stan jego pomimo zaradczych środków szybko się pogorszył do tego stopnia, że zapalenie ogarnęło jego głowę.

— Trzebaby mu przystawić ze trzydzieści pijawek na kark, a możebyśmy go ocalili Don Augusto, — rzekłem do dyrektora.

— Trzydzieści pijawek?! to w obecnym czasie kosztuje dziesięć piastrów (a); szkoda tyle pieniędzy dla takiego idjoty, który oddawna nie wie, co się z nim dzieje, i przejdzie z tego świata na tamten mimochodem, — odpowie pan dyrektor, odznaczający się od pewnego czasu

(a) Piastr hiszpański wart dziewięć złotych polskich.

skapstwem i nieubłaganą szorstkością, a ledwie skończył swą mowę, gdy *niemowa* zerwał się na siedzeniu i okropnym krzyknął głosem:

— Kłamiesz Sennor Barrameda; wiem, co się zemną dzieje, nie jestem niemową, nie jestem idjotą, udawałem tylko, by uniknąć więzienia w Afryce; ale chcę żyć koniecznie, i chcę, żebyście mię dobrze leczyli, nie żalowali mi niczego, a gdy mię postawicie na nogi powiem wam, gdzie mi Sennor Barrameda kazał pochować przed rokiem worek, w którym był *trup*, — jeszcze ciepły trup. Ha! ja chcę żyć koniecznie choćby nawet w Afrykańskim presidium.

Na tę nagłą i niespodziewaną odezwę wszyscy byliśmy jak porażeni, Dyrektor zaś, aż się zatoczył.

W tém zbliża się do chorego officer służbowy, który wszystko słyszał i pyta go:

— A gdzie ten trup, którego ci Dyrektor kazał zakopać?

— Nie powiem, aż mię wyprowadzą z choroby; ja chcę żyć koniecznie; słuchajcie panowie, trup jeszcze był ciepłym w worku — ho, ho! on myślał, że nie wiem co dźwigam—

myślał, że ja tak głupi, jak wyglądać usiłowałem. Dalej stawiajcie mi pijawki, nie żałujcie pieniędzy dla takiego, co wam wykryje kapitalną zbrodnię popełnioną przez pana Doktora. Bo zdaje się, że to on musiał zabić tego człowieka, którego ja zakopałem, nie powiem gdzie.

Nic już nie chciał powiedzieć więcej na wszystkie nalegania oficera, tylko prosił, żeby go przeniesiono do innego szpitala i oddano pod opiekę ludzi, od Dyrektora szpitala obłąkanych niezależących.

* * *

— To jakoś djablo pachnie prawdą—rzecze officer służbowy do jeszcze w osłupieniu stojącego Dyrektora szpitala.

Trzeba wiedzieć, że nikt w mieście nie lubiał doktora Barramedy od chwili gdy się zbrogał i zerwał stosunki z dawnymi przyjaciółmi.

— To prawdą pachnie, kapitanie? to prawdą pachnie, co ten szalbierz w gorączce plecie? cóż pan śmiesz mówić?

— To co myślę panie Dyrektorze — odpo-

wiedział officer milicyi municypalnej, umiejący doskonale pełnić powinności swoje policyjant-skie.

Gorzkie chwile zmartwień zaczęły się dla szanownego Don Augusta, po krótkim używaniu owoców intrygi i zbrodni; cha! cha! i te gorzkie chwile zmartwień, upokorzeń, boleści nie miały się skończyć aż ze śmiercią; nieprawdaż don Augusto de Barrameda Hidalgo starzej Kastylii, że się dopiero skończą z twoją śmiercią?

Ofiara do marmurowego słupa przykuta, ryknęła jak lew, aż zadrżały szyby na wysmukłej wieży dawnego minaretu Abderrhamanów, teraz za warownią dla pożarnej straży służącej.

* * *

Kapitan przywołał dwóch podoficerów, i kazał jednemu z nich nie odstępować ani na chwilę pana Dyrektora, drugiemu zaś polecił pilnować Muda, i z obawy by mu nie podano trucizny, zakazał mu dawać wszelkich lekarstw aż do dalszego rozkazu,

A sam poszedł do municypalności złożyć raport o tém, co widział i słyszał w szpitalu.

Ayuntamiento nakazał śledztwo i przeprowadzenie Muda do osobnego szpitala.

Jeszcze tego samego dnia don Augusto usiłował uciec ze znaczną kwotą gotówki i z brylantami swéj żony, ale dognano go i osadzono w więzieniu oskarżonych pod tak surową strażą, że nawet żony do niego nie przypuszczono.

Donna Flora była wówczas w piątym miesiącu ciąży, i kochała męża swojego nie tkliwą bezpośrednią miłością, lecz jako ojca swego dziecięcia, które ma przyjść na świat. Niczego pojąć nie mogła z tego obwinienia, lecz jakieś zło wrogie przeczucia nękały ją, bo jéj mąż we śnie tak dziwne wygadywał rzeczy, odganiał upiora swéj pierwszej żony, cień don Diega, i marę owego młodego Francuza użytego przezeń na uwiedzenie Donny Flory i na wydarcie jéj piśmiennych dowodów swéj niesławy, któremi później zmusił ją do oddania mu ręki i majątku.

Straszliwe to były chwile bolesnych przeczuć dla młodej kobiety, która sama nie będąc szczęśliwą, lękała się jednakże o los tego co jéj

nieszczęścia stał się sprawcą; a jeszcze tak rze-wnie kochała pamięć uwodziciela swojego.

Ach dziwnym, nieodgadnionym Sfinksem jest serce kobiety! ona żyć chce kochaniem i kochać gotowa własnego kata swojego, byleby udawał że ją kocha i że ją z zazdrości ścina...!

Ale niepewność niedługo trwa.

Mudo dobrze pielęgnowany w szpitalu Akademii przyszedł do zdrowia i okropnie odsonił tajemnice, wyznał, że przed dziesięcioma miesiącami i trzema tygodniami jednéj nocy z niedzieli na poniedziałek Dyrektor Szpitala obłąkanych don Augusto de Barrameda przyszedł do niego spiącego sam jeden w szalasiu ogrodowym, i kazał mu ponieść za sobą rydel i ciężki worek jak się zdaje siewką napelniony, a długi na blisko sześć stóp. Mudo ciągle udawał niemego i idjotę, a podczas pochodu macając worek przechylający się na karku swoim dostrzegł z niemalém zadziwieniem, że on zawiera w sobie trupa ludzkiego jeszcze ciepłego.

Barrameda poszedł aż do nowo wyszlamowanej sadzawki komunikującej z inną wyżej położoną, kazał wykopać dół w środku téj sa-

dzawki, tam wrzucić worek i pokryć go ziemią i kamieniami. Potém zaś otworzywszy za pomocą silnych ramion Muda wyższą śluzę, puścił wodę w sadzawkę, która tóż aż do rana zupełnie ją zapelniła.

Mudo zaś, trzymany zawsze w odosobnieniu od innych, mieszkający sam jeden w szałasie, jak wprzód tak i potém nic nie mówił.

A tak nasz Pan Dyrektor, myślał, że wody zapomnienia przeszły nad grobem przyjaciela swojego, że go pochował pod wodami sadzawki, tak jak niegdyś Madziarowie pochowali króla swojego Attylę pod wodami rzeki w korycie Cissy.

Tylko że Attila pochowanym był w złotej trumnie a przyjaciel don Augusta po prostu w sienniku.

A kto był ów przyjaciel?

Wkrótce się wyjaśni, bo już upuszczają wodę z zasadzki, już kopią w środku sadzawki, już natrafiają na kamienie, już natrafiają na warstwę bieluteńskiego piasku, już z niego wydobywają jakiś duży worek.

Wielka ciekawość!

Urzednicy sądowi, policyjni lekarze i biegli wszelkiego rodzaju skupiają się.

W worku najprzód sieczka a potem trup mężczyzny dobrze zachowany, lubo leżał w wilgotnym piasku — twarz nie straciła ani rysów, ani nawet wyrazu.

Ale kto ten mężczyzna? — nikt go tu nie zna.

Młody, ubrany w porządne suknie.

Zanoszą go do altany ogrodowej.

Jakimsiś dziwnym przecuciem tknięta Donna Flora spieszy do altany, i na pierwsze wejście poznaje w trupie Emila de Beauregard, o którym mniema, że żyje obecnie w Meksyku, bo jeszcze przed kilkoma miesiącami doszedł list od niego.

— Don Emilio! — don Emilio! — krzyczy Sennora de Barrameda, omdlewa i pada.

Nie można się dotrzeźwić; — omdlała jeszcze zanoszą do mieszkania.

A świadkowie powiedzieli: — więc go znała, kiedy go poznaje; kto on jest?

Donna Flora nic więcéj wyrzec nie chce pomimo najusilniejszych nalegań milczy i płacze. Straż otacza jéj mieszkanie. Téjże saméj nocy

młoda nieszczęsna mężatka, przewidując jakie ją czekają wstydy i bełści, zacządza siebie i syna swojego.

Któż mógł przewidzieć, że tak młoda, łagodna i powolna kobieta zginie samobójstwem i popelniając morderstwo? ona, co nigdy muszce pokoju nie zamąciła, swoje i swych dzieci życie przerywa tak grzesznym czynem! Całą noc się modliła, modląc się zginęła,—modląc się, sobie, synowi zamordowanego i nieurodzonemu jeszcze dziecku mordercy śmierć zadawała;—czyż Bóg raczy wysłuchać modłów poprzedzających czyn tak okrutny?

Biedna Donna Flora, najpiękniejsza kobieta całego Meksyku, jedna z najpiękniejszych w Sewilli umarła grzeszną śmiercią i zapewne w tej chwili jest w piekle—O Santa Maria de los Dolores!

* * *

— Ale co się stało później?

— Don Augusto wie, co się stało — nieprawda wujaszku?

Otóż nic mu nie mówiąc, ani o znalezionym trupie, ani o śmierci jego żony i jej synku, przywieziono go ładnie i grzecznie w karecie, tu do tej altany, gdzie od razu zoczył na trzech tarczach, trzy trupy — ofiary swoje.

Mocnego był temperamentu don Augusto i silnej duszy hidalgo, ale tego widoku znieść nie mógł; padł na kolana jak zwyczajny grzesznik i krzyknął:

— Litości! litości! oh Boże dla mnie grzesznego człowieka; litości Floro, Jakóbie, Filipciu i ty Don Diego, któregoś struł nikotyną, i ty żono moja Balbino, którą udusiłem zabójczym gazem pruskim.

Od razu uległ ten człowiek zdumiewającej sily przed widokiem skutków swych zbrodni; i ten świetny rozum, który tyle razy w życiu wrócił zdrowie obłąkanym umysłom, ta silna, odważna, w tyłu niebezpieczeństwach zahartowana dusza, legła przecież, jak słabego dziecięcia serce, od razu, płasko, nikczemnie na widok kilku trupów wskrzeszających w pamięci jednego roku zbrodnicze uczucia i myśli.

Świadkowie ukryci wszystko widzieli i sły-

szeli, i wystąpili w chwili, gdy Dyrektor tego zakładu, przewodniczący od lat ośmiu dobroczynnym działaniom uzdrowienia obłąkanych, sam w szale rozpaczliwym oskarżał się o popełnienie tylu niewykrytych, nieznanych, zupełnie niespodziewanych zbrodni.

Biada takim, co w usłudze niesionej cierpiącym, własnych nie umieją zapomnieć cierpień, i chcą żyć, jak owi szczęśni synowie ziemi, którzy tylko dla biednego życia stworzeni, w używaniu pojmują zanosć takiego zadania, jakim jest życie. Płochu nie jeden wstępuje w ów cierniowy zawód lekarza, rokujący tryumfy, więtość i to prawdziwe znaczenie jakie człowiekowi użytecznemu nie odmawia społeczność; ale jeśli nauka wyższa, obznajmienie się z cierpieniami ludzkości, jeśli przekonanie, że w naszym zawodzie zdobywać sobie trzeba krótkie tryumfy długimi staraniami, nie wzniesie człowieka po nad ogół bezmyślnój ludzkości, wówczas najszlachetniejszy zawód lekarski staje się nikczemnym rzemiosłem, a nawet łatwym środkiem do popełnienia niesłychanych zbrodni. Któż prędzęj, jak lekarz, wtajemnicza się w życie domowe ro-

dzin nieznanych mu przed chwilą? któż łatwiej objąć może prawo rządzenia ich czynami, ich uczuciami? A jeśli lekarz przypuszczony, *za wynagrodzenie pieniężne* do tego przywileju, szafuje nim dla dogodzenia własnym brudnym namiętnościom, wówczas na nieublagane zasługuje potępienie ze strony publiczności, a zwłaszcza ze strony swych współzawodników; i w tém się potwierdza dziś jeszcze mądrość ojca medycyny Hipopokratesa, że w przysiędze przezeń naznaczonej, przyjętym do grona lekarzy młodzieńcom, wyraźną obarcza wzdargą ze strony kolegów wszystkich występnych, co nie umieli utrzymać się nauką i uczuciem na wysokości szczytnego powołania swojego. Otóż ten człowiek, szlachcic Kastylijski, doktor medycyny kilku fakultetów, jeneralny officer zdrowia zwyciężkiej armii naszój, professor medycyny, kawaler kilku orderów, dyrektor tego ważnego zakładu, w wieku zbliżającym się do starości, stratował całą swą chlubną przeszłość najohydniej nogami dla zabezpieczenia sobie wygodnej przyszłości! i poświęcając honor i sumienie żądy ledwie w wieku młodzieńczym dozwolonych uciech zmysło-

wych, zagmatwał się w labirynt intryg i zbrodni godnych najzjadlejszego nieprzyjaciela ludzkości.

* * *

„Więc“ mówił dalej Doktor Donnadio—więc ani nie umilkł, ani sobie nie zadał śmierci, jak owa nieszczęsna młoda kobieta, której spowodował samobójstwo; nie! tego nie zrobił Sennor Augusto de Barrameda, jak to widzisz kolego, bo otóż stoi przed nami przykuty do kamiennego słupa;—tylko po prostu ogarnięty niesłychanym żalem na widok swój umarłej żony, wyznał wszystko jak najpiękniej, zupełnie jak zwyczajny pokorny grzesznik.

Piorunem rozgłosiła się po całym mieście wieść o tych niesłychanych morderstwach, popełnionych przez lekarza. Nasz ciemny, fanatyczny, do nienawiści i wściekłych czynów zawsze skłonny lud, dowiedziawszy się o co idzie, krzyknął że wszyscy lekarze są albo szarłatana mi, albo trucicielami, i że nareszcie wypada dać

im dobrą lekcją, to jest wytępić ich połowę ogniem i mieczem.

Wzięto się też niebawem do wykonania tego miłego zamysłu, i zaraz w pierwszej godzinie zamordowano pięciu lekarzy na ulicach Sewilli, kilku zaś raniono wystrzałami, a pomiędzy temi znajdowałem się i ja tu obecny don Fadrique Donnadio, pokorny sługa szanownego kolegi. Strzelili do mnie, gdym z okna patrzył na ulicę, i ranili mnie w ramię nawet dość mocno, bo do dziś dnia ból w nim czuję.

Siła zbrojna wdała się natychmiast w sprawę, i parą wystrzałami z armat, od których zginęło ze czterdziestu ludzi, rozpędziło molloch naszej doktorskiej krwi spragniony.

Otóż co zawdzięczamy wujaszкови, którego ja muszę teraz trzymać w zamknięciu, aby nie przyszedł szwagier Sparafulo pierwszy kat szlacheznego miasta Sewilli, i nie uciął mu umyślnie na to wymyślonym nożem głowy.

U nas bowiem nie ścinają głowy gilotyną, toporem lub mieczem, tylko skazanych na haniebną śmierć, duszą w garrocie, i potem dla przy-

kładu skracają odrzezaniem głowy długim nożem.

Tak haniebna kara jeszcze w Hiszpanii nigdy nie spotkała doktora medycyny, chociaż ich za świętej inkwizycyi tuzinami żywcem palono, nawet tu w Sewilli, jak to dowodzą napisy na kolumnie przeblagalnej postawionej w dziedzińcu uniwersyteckim.

* * *

Aleśmy się za nadto oddalili od kwestyi: nie powiedzieliśmy jeszcze jakim się sposobem tutaj dostał na najostatniejszego mieszkańca Sennor Barrameda, ten sam który niegdyś pierwszą tu był figurą, i rozrządzał losem dziewięciuset ludzi.

Otóż w samotném więzieniu, w którém go trzymano aż do zebrania się kwartalnej junty przysięgłych, otóż mówię w samotném więzieniu, gdy się pomiarkował z sobą i przypominał sobie jakie go czekają przyjemności na tym świecie jeszcze, nim stanie przed Świętém obli-

czem Boskiej Sprawiedliwości, więc stracił głowę, zwaryjował.

Myślisz, że istotnie stracił głowę i zwaryjował kolego don Teodoro?

Ale gdzie tam!—udał obląkanego; znajome mu były doskonale wszystkie fortele, którei można oszukać najbystrzejszych sędziów i biegłych; —doskonale udawał waryjata, poddał się wszelkim próbom, niezliczonym męczarniom wyrównyującym inkwizycyjnej torturze, by się tylko wymknąć szwagrowi Sparafulo z owych zadusznych objęć, od których pęka grdyka i trzeszczą kręgi.

Brrr! dreszcze mnie ogarniają na samo wspomnienie, chociażem Hiszpan do widoku katuszy i krwi rozlewu od małego dziecka przywykły.

Brrr! Santa Virgen de los Dolores y de las Misericordias! Santa Maria Purissima! Santo Fadrigue de Echeverria mi Primero Padrone! Sant Jago de Compostella mi segundo Padrone! Sant Isidoro mi terceiro Padrone!

Nie prawda don Augusto , że takie uściskanie
djabła warto?

* * *

Cha! cha! cha! to się też okrutnie lękał takich uścisków don Augusto de Barrameda! on taki amator wcale innego rodzaju uścisków! on tak lechczywy w szyi.

To też wołał udać waryjata , i pierwszy raz w życiu wystąpiwszy na scenę życia jako aktor, doskonale odgrywał rolę swoją nawet tak dobrze, że wszystkich zdurzył wyjąwszy mnie jeszcze lepiej znającego jego charakter i charaktery prawdziwych waryjatów.

Sądy kryminalne sumienniejsze są u nas, niżby można mniemać patrząc na nasz kraj, targany od tak dawna nienawistnymi namiętnościami. W tak ważnej sprawie jak sprawa don Augusta, generalnej rangi urzędnika , junta przysięgłych pragnęła mieć wszelkie dowody i rękojnie prawdy i winy, aby mogła jak najsprawiedliwiej wymierzyć karę.

Postępując tedy w duchu prawodawstwa

konstytucyjnego, Junta odroczyła wydanie wyroku na sześć miesięcy, i ogłosiła w całym kraju, mianowicie w wszystkich uniwersyteckich miastach, konkurs i sowiłą nagrodę *dla tego*, który przed Juntą lekarską Sewilli dowiedzie, że don Augusto de Barrameda jest istotnie obłąkanym, lub że udaje obłąkanego.

Stawilo się kilku bardzo uczonych lekarzy na dowiedzenie, że dawny dyrektor szpitala obłąkanych udaje obłąkanego dla uniknięcia kary; a *ja* jeden tylko najmocniej przekonany o całkowitości rozumu wujaszka mojego, dowodziłem że istotnie jest waryjatem, ucierałem się przez sześć miesięcy z czterema lekarzami usiłującemi dowieść mi że się mylę, a nawet że chcę sądy w błąd wprowadzić, że popełniam *crimen lesae conscientiae*, na surową karę zasługującą zbrodnią.

Gorąco było wówczas wujaszкови, bo go przepuszczono przez różne bólaące doświadczania, jak naprzykład głód, pragnienie, zimno, gorąco, plagi i kropliste kąpiele, huki, sztuki, klucia i krajania dla dowiedzenia że udaje wa-

ryjata; ale i mnie téż nie było bardzo swobodnie, bo w razie gdybym był uległ, straciłbym wzięcie u publiczności, szacunek u moich współobywateli, posadę, nadzieję na przyszłość, a nawet i wolność.

Na cóż się to nie wystawiałem dla mojego wujaszka, który w ostatnich czasach, zbogacisz się zbrodniami, tak się niemilosernie a nawet pogardliwie ze mną obchodził? Ale patrzeć jak będą dusili tak szlachetną szyję, na której wisiały ordery?! patrzeć jak będą ścinałi tak mądrą głowę?! ale patrzeć na krew z moją krwią spokrewnioną, która będzie spływała po nożu, rusztowaniu, bruku aż do rynsztoka?! bah! wybaczyłem mu wszystko, i wbrew mojemu sumieniu dowodziłem, że jest istotnym waryjatem, i że śmiercią karany być nie może za swoje zbrodnie.

* * *

— Bóg, Najświętsza Maryja Panna, mój pierwszy patron ś-ty Fryderyk z Ecieveryja, mój drugi patron ś-ty Jakób z Kompostelli, mój trzeci patron ś-ty Izydor z Korduby raczyli poblogo-

sławić pracy mojej, usiłowaniami miłosiernym dążącym do oszczędzenia wstydu poważanemu ciału medyków sewilliańskich i całemu rodzeństwu naszemu aż do piątego i szóstego stopnia.

Don Augusto de Barrameda uznany za najniewątплиwszego waryjata, i zamknięty jako maniak społeczeństwu ludzkiemu nader szkodliwy tu w czubkach; gdyby zaś przypadkiem przyszedł do zdrowia, wówczas w sposób nam wiadomy da gardło, wypowiedawszy się wprzód i przebywszy godzin dwadzieścia i cztery w kaplicy grobowej, obwieszanej z wielką okazałością kirem i oświetlonej tysiącem świec.

Otóż takim sposobem dostał się wujaszek w moje ręce, i takim sposobem w nagrodę za usług i skutkiem uznania zdolności moich, ja zostałem mianowany dyrektorem tego zakładu obłąkanych.

Cenę zaś tysiąca piastrów wyznaczoną za przekonanie Junty przysięgłych poświęciłem na zakupienie wieczystych mszy za duszę ś. p. donny Flory i jej dziecka. Z kolosalnego majątku don Diega nie wiele zostanie po opłaceniu kosztów konkursu i processu, zwłaszcza po ufundowaniu

kaplicy przebłagalnej w obrębie tych murów; resztę oddano spadkobiercom, to jest synowcom i synowicom nieboszczyka don Diego, którzy się zgłosili niedawno.

* * *

Otóż i koniec téj nader smutnej historyi rozgłoszonej we wszystkich dziennikach Hiszpanii, Portugalii, Meksyku i Brazylii, wszędzie gdzie tylko zaszedł nasz lub pobratymców naszych luzytańskich język.

A w ciężkich muszę więzach trzymać wujaszka mojego, bo już raz w przestanku jaśniejszym, w którym przedierać się zaczęły promienie rozumu do obłąkanej duszy, don Augusto namawiał infirmerów do ułatwienia mu ucieczki, i o mało co nie nakłonił jednego z nich do wyświadczenia mu téj usługi. Byłby mię pięknie wykierował mój poprzednik za uratowanie go z pod katowskiego noża! Od tego czasu trzymać muszę wujaszka w ciężkich więzach pod zamkami i zasuwkami ogromnej wielkości; a najwięcej jestem niespokojnym, gdy on się zaczyna

uspokajać, gdy nie ryczy, wyje i nie targa się w więzach. Wówczas to następują owe interwalle lucida, w których wujaszek ma przytomność i strasznie pragnie wydostać się na wolność wszystkimi możliwymi sposobami. Gdyby go w téj chwili widział gubernator, szef polityczny lub arcybiskup odwiedzający od czasu do czasu ten zakład, toby don Augusta uznano za zdrowego i poproszono by go na rusztowanie, aby dał na sobie wykonać wyrok śmierci przez uduszenie żelaznym halsztukiem, od którego straszliwie kręki trzeszczą, a język wypada z ust na ćwierć łokcia. Nie! żal mi wujaszka, i jak go napadają chwile rozumne i tęsknoty do wolności, wtenczas tu schodzę, drażnię się z nim, wystawiam mu wszystkie męczarnie egzekucyi śmiertelnej, wzruszam go aż do głębi serca, przestraszam i na ówczas wpada nazad w owe szalły, w których się targa, wije, w których zgrzyta zębami, klnie i kopie. Wolę go widzieć takim wściekłym, wtenczas jestem spokojniejszym i cieśszą się myślą, że przecież raz starga się owe ciało, w tych twardych więzach.

* * *

Doktor Donadio umilkł, i pytające we mnie wlepił oczy, jak gdyby żądał mojego zdania o téj straszliwej tragedyi.

— Kolego! — rzekłem — okrutne jest twoje posłannictwo, za nic w świecie niechciałbym go pełnić.

— Czynię to dla honoru medycyny i krwi mojej — odpowie Donadio.

— Ależ drażnić człowieka, bliźniego swojego, umyślnie, aby się wściekał?! Dalibóg wołałbym po prostu zadać mu truciznę: kilka granów nikotyny położy koniec i jego cierpieniom i twoim obawom. Nieprawdaż don Augusto, że wolisz być otrutym od razu? Nikotyna to trucizna szybka jak piorun, musisz o tém wiedzieć.

Sennor Barrameda odpowiedział mi długim, wściekłym, wilkołaczem zawyciem, i chciał mię kopnąć nogą, ale mnie dosięść nie mógł.

— Widzisz — on wcale śmierci nie pragnie, on woli żyć nawet w tém miejscu, w tych łańchmanach, w tych więzach. A potem za nic w świecie nie chciałbym sobie obciążać sumienia żadnym zabójstwem — rzeczy dreszczami przejęty doktor Donadio.

— I wolisz sobie obciążać sumienie zabójstwem duszy? zabójstwem tego, co ma być wiecznym w człowieku? Czy nie więcej grzeszysz?

— Jako? nie pojmuję, — ja zabiję w nim duszę? czy taki potwór jak on ma duszę?

— Tak dobrze ją ma jak ja i ty i jak ją ma najlepszy człowiek w świecie. Sennor Donadio, wiesz co ty robisz temi ciągłymi trapieniami tego grzesznika? Nie dajesz mu przyjść do siebie, nie pozwalasz mu się zastanowić nad swą przyszłością, nad swemi grzechami, i nad tém co on Bogu winien, którego tak ciężko obraził. Oh źle się bawisz Sennor Donadio, bawisz się nie po chrześcijańsku lecz po pogańsku. Nie! wy tu jeszcze w Hiszpanii nie zrozumieliście Chrystyjanizmu: pomimo tych wspaniałych kościołów, jeszcze tu wszystko pachnie krwawym druidem i stosem inkwizycyi. Maurowie Korduby i Grenady godniej od was pojmowali wartość duszy, o mściwe Audaluzyi dzieci. Tak! wzywam cię kolego na miłość ukrzyżowanego Boga, — przestań trapić tego człowieka, i gdy okazywać będzie przytomność umysłu nie rozdrażniaj go, nie obrażaj, nie przestraszaj, lecz owszem

przedstawiaj mu, że Bóg nieskończenie miłosierny największemu, szczerze żalującemu grzesznikowi przebaczyć może najczarniejsze zbrodnie. I dobrego sprowadź mu spowiednika, kapłana w religiją szczerze wierzącego, niech go nakłania, aby poniesieniem.....

Przerwałem sobie sam mowę mierząc oczyma ofiarę przykutą do kamiennego słupa, która na mnie zdziwionemi, łaknącemi patrzyła zrenicami.

— Jakiem poniesieniem?—poniesieniem czego?—zapyta doktor Donadio z gorączkową niecierpliwością.

— Aby pokorném poniesieniem zasłużonej kary, przebłagać zasłużony gniew Boga.

— Santa Maria purissima concebida sim peccado! ty chcesz, żeby się dał zimną krwią udusić i zarznąć przez pana Sparafulo na rusztowaniu w obliczu całej Sewilli i połowy Andaluzji zebranój na to widowisko?

— Tak jest, — takby wypadalo; ja przynajmniej, na jego miejscu, popełniwszy tak okropne zbrodnie i widząc się w kajdanach skazanego na wolną ale niechybną śmierć, ja przynajmniej

tak zrobiłbym, i jeszczebym ceniał się szczęśliwym, że mi jeden pozostaje środek do zniewolenia sobie Nieba przezemnie tak ciężko obrażonego. Ja wolałbym umrzeć, niż żyć w tych obydnych kajdanach. Och! u nas tam na północy inne pielęgnujemy wyobrażenia o godności chrystyjanizmu i życia; klóźby u nas takim cierpieniem i kosztem przyszłości na drugim świecie chciałby sobie okupywać przedłużenie takiego życia, jakie twoja okrutna litość mu sporządza? Nie, Sennor Donadio, źle się bawisz, bezbożnie się bawisz z duszą twego grzesznego wujaszka.

Opuściłem szpital obłąkanych w Sevilli, zgromadzoną przejęty.

* * *

W kilka miesięcy potem wyczytałem z gazet, że Don Augusto de Barrameda poniósł śmierć na rusztowaniu z unoszącym męztwem i budującą skruchą.

Może do téj śmierci przyczyniły się rady syna na północy, zabłąkanego aż do Hiszpanii?...

ROZDZIAŁ V.

Bohaterka.

Z szpitala obłąkanych Sewilli prowadzę czytelnika do szpitala wojskowego Saragossy, umyślnie, by w widoku rzeczy miłe wrażenie wywierających ochłonął z niemiłych uczuć, wzbudzonych przez opowiedzenie historyi o obłąkanym lekarzu.

Żal nam, że nie zawsze możemy kołysać dusze czytających przyjemnymi obrazami, — ale gdzie jest światło, tam muszą być i cienie; gdzie są róże, tam się znajdują kolce.

Tu w Saragossie, okazały szpital wojskowy nie przedstawia nic do domu obłąkanych Sewilli

podobnego: nie ma tu wysokich murów, głębokich rowów, zwodzonych mostów, ryglów, zamków, kajdan i pętów; tu są wielkie, dobrze oświetlone i przewiewane sale, ozdobne kaplice, obszernie widne kurytarze, także dziedzińce; trawniki, ogrody i ogródki dla mężczyzn, kobiet i dla dzieci: trzeba bowiem wiedzieć, że w tym szpitalu leczą się nie tylko oficerowie i żołnierze, lecz także żony i dzieci całego general-kapitaństwa Arragonii.

Główną jednakże ozdobą tego zakładu nie były ręką ludzką tworzone dzieła, lecz utwór Pana Boga, anioł napelniający urokiem wdzięków i dobroci cały ten dom, w którym codziennie tyle się goiło cierpień, tyle koilo żalów.

Otóż główną ozdobą tego domu była *la hermana mayor*, starsza siostra miłosierdzia, przewodnicząca trzydziestu młodszym siostrom, reguły Ś-go Wincentego a Paulo w niesieniu pomocy, którą tylko czuły instynkt kobiecey pojąć i pełnić może.

Tak miłej, pięknej i młodej *starszej* siostry miłosierdzia jak *hermana mayor* Catalina w życiu swoim nie widziałem nigdy i nigdzie, i przy-

znać muszę, żem stanął jak wryty, gdym tego anioła ujrzał stojącego obok łózka; a w łózku tém leżał i kłął jakiś stary wąsaty wiarus, któremu przed godziną ucięto obie nogi pogruchotane jedną armatnią kulą.

Wojna wówczas wrzała w Hiszpanii, i jeszcze nie można było przewidzieć kto zwycięży, jeszcze codziennie tysiące ludzi ginęło w obrobie jednych i drugich zasad.

Siostra Catalina, arragonka czystej krwi, była zwolenniczką postępowych zasad, ale w pełnieniu swych obowiązków tylko ludzkość miała na oku, i w tej chwili niosła pomoc karliście w niewolę zabranemu na polu bitwy i optakującemu tak boleśnie swych uciętych nóg i swój straconej wolności.—Niosła mu pomoc i lzy nad nim wylewała.

A jednakże karliści zabili jej wszystko co miała najdroższego...

W dni świąteczne znajdziesz na piersiach siostry Cataliny order, który się w Hiszpanii daje tylko walecznym, co się na polu bitwy tylko bohaterstwem odznaczyli.

Co znaczy ten order na dziewiczych pier-

siach tak młodej, miłej i tak delikatnej, bladej istoty.

Ta istota jest bohaterką, która własną ręką ze dwunastu karlistów zglądziła; ta istota jest jedną z tych Saragossanek, które lord Byron swém wieszczóm piórem unieśmiertelnił i przepowiedział.

Tak! nie ma podobniejszego do anioła jak prawdziwi bohaterowie, to przyznać musimy patrząc w téj chwili na Izą zroszone niebieskie oczy siostry Cataliny.

Cała Hiszpanija ją zna i z niéj jest dumna, jak z swego Cyda lub Palafoksa.—Wiedzie, że ona mogła być zostać księżną i używać wszystkich darów fortuny, ale woląa poświęcić się uldze bliźnich swoich i Izami które ociera obmywać krew wrogów, przez nią przelaną.

Wstąpiła do klasztoru, i po rocznym nowicyjacie, po dwuletniej służbie w szpitalu wojskowym, została siostrą starszą, mając zaledwie lat dwadzieścia jeden. A wszysej na to się zgadzają, że nigdy nie było w szpitalu takiego porządku jak dzisiaj. Prawda, że jój pomaga własny brat, intendent tego szpitala, ów przystojny

młody oficer, którego widzimy chodzącego na drewnianej nodze i na szczydle po salach i kurytarzach ogromnego zakładu.

To jest jedyny krewny, który jój pozostał po licznych klęskach na jój rodzinę spadłych.

Historyja życia tój chrześcijańskiej bohaterki jest tak ciekawą i budującą, że jój nie można dość często opowiadać; i dla tego też jeszcze raz i to szczegółowo pomówimy o świetnej córce bohaterskiej Saragossa.

* * *

Wiatry wyły rozkielznane od północy ze strony Pirenejów i wzburzały falami rzeki Ebro, nad któremi w nocnym uśpieniu rozpościerała się Saragossa.

Był to początek Marca, pora roku wszędzie, nawet w Hiszpanii nie bardzo przyjemna.

Oparty o wielki pałac, stał niedaleko wałów domek murowany na piętro, raczój rodzaj przydomku, składającego się z dolnego pokoju z kuchnią i z wierzchniego pokoju z balkonem, wystającym z pierwszego piętra po nad drzwi i opatrzonego tak nazwanym miradorem, to jest wieżyczką służącą za belweder, a w razie potrzeby

za strzelnicę. Cały ten domek z mocnych kamieni stawiany, opatrzony na dole żelaznymi drzwiami i okiennicami, wyglądał jakoś dziwnie zbrojnie. W dawnych czasach służył widać tylko za wejście i kordygardę przyległemu pałacowi, dawniej także więcój do zamku podobnemu, teraz jednakże na sposób spokojny i paradny mody dzisiejszój przystrojonemu.

Zamurowano także przejście z domku do zamku, tylko ślady jego pozostały na murze.

W tym dziwnym domku na piętro, a tylko z dwóch pokojów złożonym, są żelazne drzwi i także okiennice; na dole zawsze bardzo mocno zatarasowane ryglami, zamkami i szynami żelaza, a żywěj duszy na dole nie było.

Ściany izby na piérwszém piętrze zawieszone były jakimi dwudziestoma sztukami różnej broni palnój, od tromblona aż do krucicy, a wszystkie wisały nad łóżkiem, na którém jęczał jakiś bardzo przystojny, ale obolały, wychudły mężczyzna.

Tuż obok jego łóżka na staroświeckim fotelu siedziała niewiasta średniego wieku, chuda, blada, wynędziała: z podobieństwa rodowego

domyślcie się było można, że to matka owego chorego, jęki swe tłumiącego młodzieńca.

Na drugim fotelu, tuż pod oszklonemi drzwiami wychodzącemi na ganek, siedziała młoda dziewczica znakomitęj piękności, ale także znękanego, zupełnie bladego lica i oczu zgasłych, w których się malowała nie tylko rezygnacyja, lecz nawet jakiś rodzaj chorobliwego osłupienia, przykro kontrastującego z rysami szlachebnemi i z młodością tęg dziewczicy.

I tu można się było z podobieństwa łatwo domyślcie, że to córka tęg starszég niewiasty, a siostra tego chorego mężczyzny.

Musiła to być niegdys zamożna podupadła rodzina, przynajmniej tak wnioskowałeś z ozdób herbowych, dawniej złoconych, obecnie otartych mebli; a że te herby rodzinném były znamieniem, o tég cię przekonywały tezsame heraldyczne ozdoby, na kilku staroświeckich portretach mężczyzn i kobiet zawieszonych na ścianach.

I tu także rodowe podobieństwo pomiędzy temi żyjącemi i nieżyjącemi mieszkańcami tęg izby, przekonywało, że to jedna familija.

Tak było istotnie. Rodzina Palacios, której tu widzimy ostatnich potomków, wysokie niegdyś zajmowała stanowisko w królestwie Arragonii, piastowała najważniejsze urzędy w senacie i w wojsku, posiadała wielkie bogactwa, przewodniczyła szlachcie w ukształceniu i dążnościach postępu, ale doszedłszy do najwyższego szczybla znakomitości, zwróciła na się uwagę swych zazdrośnych monarchów i skazaną została przez nich na prędkie schodzenie z godności i majątku—na upadek. W dokonaniu tego, najwięcej pomagał zausznik króla i kochanek królowej, chciwy i zradziecki Godoy, którego przezwano księciem pokoju.

Generał de Palacios wraz z dwoma synami swojemi został skazany przez inkwizycją na spalenie, *za to*, że podczas podróży w Szwajcaryi odwiedził nienawistnego Jezuitom Woltera. Majątek ich skonfiskowano na rzecz skarbu, po wykonaniu śmiertelnego wyroku na głównym rynku Saragossy, w Sierpniu 1804 roku.

Dwie córki tegoż generała de Palacios zamknięto w jakimś więziennym klasztorze dla tego, że zostały wychowane przez przywiezioną

z Szwajcaryi ochmistrzynię, i *zapewnie* się przejęły zgubnymi wyobrażeniami religijnemi i politycznemi rzeczypospolitój Helweckiej.

Tylko jeden Palacios, najmłodszy, pozostał przy życiu i zaczął być wychowywanym na księdza przez urząd opiekujący się po ojcowsku ostatnim potomkiem dawniej licznej, możnej, w kilkanaście lat do ubóstwa przywiedzionej rodziny.

Z wszystkich dóbr posiadanych wprzód przez rodzinę Palacios, pozostał temu ostatniemu potomkowi tylko pyszny pałac w Saragossie i kilka folwarków w bliskości tego miasta.

Potem, gdy młody Alfonso de Palacios jeszcze był w seminaryjum, Francuzi wdali się w losy Hiszpanii, najechali ją, Burbonów z tronu strącili i osadzili na nim Józefa Bonaparte, który już wprzód jako król Neapolitański dał dowody niewątpliwiej niedoleżności.

Wybuchają w upokorzonój, krzywdzonój Hiszpanii spiski, bunty i owe krwawe wojny, które cały obszar najpiękniejszego kraju Europy przez lat tyle szlachetną krwią zalewały.

Hiszpanie walczą jak lwy.

Wszyscy synowie zagrożonej Iberyi stanęli pod orężem, a z nimi Alfons Palacios wychowawiec seminaryjum w Burgos.

Dawni słudzy i poddani skupili się około pannie w liczny hufiec gerylasów i wkrótce rozpoczęli działania zaczepne pod wodzą dziewiętnastoletniego seminarzysty, którego nazwisko w rok jeden zastąpiło w całym kraju odgłosem bohaterstwa; a podczas oblężenia rodzinnego miasta, młody Palacios zamienił swój pałac w fortecę, wtoczył działa do sal i komnat, a zamknąwszy się w nim z swym hufcem, raził oblegających wrogów dobrze wymierzonymi strzałami.

Część tego palacu została pograżoną w gruzach wraz z większą częścią hufcu Alfonsa Palacios. Nareszcie po pamiętnym dziewięćmiesięcznym oblężeniu, legło bohaterskie miasto.

Ożenił się Alfons Palacios wkrótce potem, dostąpiwszy 24 roku, z jedną z sławionych bohaterek Saragossy Maryją Carrol, i jeszcze przez całe lat sześć walcząc w szeregu, dosłużył się stopnia podpułkownika, a po powrocie Ferdynanda VII został z rozkazu króla wtrąconym do

więzienia, i byłby może swą wierność dla Burbonów życiem przypłacił, gdyby mu nie ułatwiono ucieczki.

Ale go skazano zaocznie na śmierć, skonfiskowano resztę majątku, pałac sprzedano, a herb jego spalono ręką kata na szubienicach Saragossy.

Alfons Palacios zdołał uciec z żoną i dziećmi do Londynu, znalazł u rządu angielskiego opiekę i pomoc, a pracując nad wykształceniem się w sztuce wojennej, jadł przez lat kilkanaście gorzki chleb wygnania.

Dopiero po śmierci przewrotnego, niewdzięcznego Ferdynanda VII, wróciła emigracja hiszpańska do kraju, i wkrótce potem rozpoczęła się zacięta walka pomiędzy wdową Ferdynanda i jego bratem, roszczącym sobie prawa do korony.

Palacios prowadził do boju liczny hufiec gerylasów Arragonii, i w niejednej potyczce dał się Karlistom srogo we znaki, zwłaszcza pod Terruel, gdzie zniszczył cały korpus gerylasów karlistowskich i powiesić kazał jego w niewolę zabranego dowódcę nazwiskiem Cabannero,

okrutnego Cabecille, który wprzód był hersztem bandy rozbójników.

Ale pozostał przy życiu syn tego Cabannero, i ten zaprzysiął całemu plemieniu Palaciów nieubłaganą zemstę.

Już skutków téj zemsty doświadczył pułkownik Palacios, syn jego starszy kapitan Palacios i porucznik Floriante, narzeczony Donny Kataliny Palacios. Życiem na polu bitwy przypłacili śmierć zadaną przez kata hersztowi karlistowskiemu. W ostatniej bitwie pod Morellą, kula armatnia nogę urwała drugiemu synowi nieboszczyka pułkownika Alfonsa de Palacios, Henrykowi, który tu po amputacyi leży na łożu boleści, w téj małej komnacie dawniej łoży odźwiernego służącej teraz całej familii, niegdyś bogatych i wysokich hidalgów za mieszkanie.

Ale te wszystkie klęski spadły na ród Kataliny, jeszcze nie uśmierzyły żądzy zemsty zaciętego Cabannera, stojącego teraz na czele sześciotysięcznego hufcu buntowników karlistowskich, bo jeszcze żyje amputowany porucznik Henryk Pallacios; jeszcze żyje jego brat młodszy dwunastoletni Jago, jeszcze żyje bohaterka Maryja Car-

rol wdowa po pułkowniku; jeszcze nakoniec żyje piękna Katalina Palacios, lubo nieutulona w żalu po śmierci walecznego narzeczonego.

Cabannerowi nie wystarcza zglądzenie téj rodziny.... on pragnie jój hańby i nie spuszcza z oka Saragossy; w której wie, że żyją szczątki nienawistnych mu Palaciów rodziny.

* * *

Teraz wiemy, kto ta podeszła, blada osoba, siedząca obok łoża, w którym leży biedny, z bólu jęczący młodzieniec. To sławna Maryja Carroll, bohaterka opiewana przez lorda Byrona, to wdowa po walecznym pułkowniku Alfonsie de Pallacios, hrabi de Terruel. A ta młoda, piękna osoba, to jój córka, która od chwili śmierci swego ojca, brata i narzeczonego siedzi tu jak zdętwiała, słowa nie przemawiając, nic nie przyjmując prócz odrobiny mléka i cafémi tygodniami nie ruszając się z miejsca. Już ten stan trwa blisko czterech miesięcy, już zasięgnięto rady wszystkich lekarzy Saragossy dla biednej Kataliny, już się do wszystkich wstrząsających fizycznych i moralnych uciekano środków: dawano jój wronie oko, wcierano w nią fosfór, stawiano jój

moksy, galwanizowano ją elektrycznością, ale wszystko na próżno, wszystkie te środki najmniejszego nie wzbudziły oddziaływania: Katalina siedzi jak martwa z otwartymi osłupiałemi oczyma, codzień więcej chudnie, codzień zdaje się bliższa śmierci, bo i ciało jój stygnie i puls już ledwo uderza.

W całym mieście wypytyują się o zdrowie pięknej Kataliny, i w całym mieście ją żałują, bo wszyscy powiadają, że wkrótce poprowadzą do grobu najpiękniejszą dziewczę Saragossy, córkę bohatera i bohaterki w dziejach kraju świetniejących.

Nawet religija nie wywiera żadnego wpływu na zakłętą w odrętwieniu duszę, niegdyś tak szczerze pobożnej, tak entuzjastycznej, religijnej Kataliny. Arcybiskup Saragossy zaszedł do niej w świątecznym ornacie, w infule, z pastorałem i z relikwijami, otoczony licznym orszakiem kanoników, dyjakonów i subdyakonów, i nie wywołał w duszy młodej dziewczicy wielkiego wzruszenia: tylko skąpą łzą zwilżyły się jój oczy i błada twarz zadrgała, a potem znów nastąpiło osłupienie, większe jak kiedykolwiek. Tylko cza-

sem na matkę swoją, którą namiętnie kochała, ukliwie spojrzy biedna Katalina, ale i te spojrzenia, wyjawiające obecność duszy, stają się coraz rzadszemi; brakuje temu pięknemu ciału żywiołów bytu i wkrótce legnie pod swym własnym ciężarem.

* * *

— Ach! ty cierpisz okropnie i tłumisz swe cierpienia, abym się nie martwiła, mój synu; rączęj się poddaj i jęcz jeśli cię boli! — rzekła matka do rannego oficera.

— Ja cierpię, — odpowie oficer — to prawda, ten abces mi dokucza okropnie: radbym żeby doktor przyszedł jak najprędzej i otworzył go. Ale to mnie niepokoi że go nie widać, ani też małego Jago; przecież zład do doktora niedaleko: przypuśćmy że go Jago nie zastał, więc zostawiwszy zawiadomienie, mógł był dawno wrócić. Nie wiem czemu mnie tak bardzo niepokoi to spóźnienie, mięsza się do niego jakieś smutne przecucie, — ach! wolalbym więcęj cierpieć, aby tylko wrócił nasz mały Jago, jedyna nadzieja domu Pałaciów.

— Ależ mój Ferdynandzie, on zapewne przyjdzie z doktorem nie bardzo już rączym w ruchu: gdzieżby się podział? Przecież jesteśmy za dobremi murami, a w środku naszego poczciwego miasta nieprzyjaciół nie ma. Jedna dusza, jedno serce, jedna wiara w walecznej i bogobojnej Saragossie.

— To prawda, daj Boże mieszkańcom każdego chrześcijańskiego miasta tak dobre, dzielne i kochające się serca. Ale mnie się to nie podoba, że Saragossę, punkt tak ważny, zupełnie ogołociono z wojska regularnego; a to jeszcze mniej mi się podoba, że wczoraj wysłano na odsiecz obleganjej Gandery całą kawaleriją i dwa batalijony naszej gwardyi narodowej. Cóż nam pozostało? cztery batalijony po tysiąc ludzi, hufce złożone z starców, kalek, niedołęgów i dzieci. Łatwoby mógł nieprzyjaciół korzystać z tego ogołocenia.

— Gdyby o tém wiedział, mój synu, że część naszej gwardyi wyszła; ale któż mu to powie, jesteśmy pewni naszych wiernych współobywateli: jeszcze w Saragossie zdrajcy nie było, — uspokój się, o mój biedny synu.

— Jeszcze tu zdrajcy przekonanego o zdradę nie było, to prawda! Mają jednakże nieprzyjaciele stosunki z Saragossą, a nade wszystko ma je Sennor Cabannero, nasz nieublagany wróg, a spokrewniony tak blisko z tyloma księżmi i zakonnikami, niecierpiącemi nas wiernych obrońców konstytucyi i przyjaciół postępu. Sennor Cabannero nie wybaczy nam, dopóki jeden Palacios żyje. Ach! już też tylko jeden przy zupełnym życiu — nasz kochany Jago, nadzieja rodziny, przyszły wskrzesiciel świetności Palaciosów. Mnie trawi gorączka, schnę i uschnę niezadługo, jak owo drzewo, którego korzenie podlano warem; biedna Katalina znów stygnie i usypia jak lodem obłożona rajska ptaszyna; ty matko bohaterko nie oprzesz się rozpaczy i pójdziesz za nami tam, gdzie już ojciec i brat jeden;—tylko on pozostanie, on jedenastoletni, jedyny, tyle rokujący Palacios. Cha! królowa musi go przyjąć do szkoły paziów, jako ostatniego potomka zasłużonej rodziny Hidalgów o trzydziestu dwóch herbach.

— Boże! byleby tylko wrócił jak najprędzej: od godziny go nie ma, wyszedł o czwartéj rano,

teraz właśnie bije piąta i dzwonią w klasztorach na prymaryją.] Cudowna Panno Maryjo del Pilar! zmiluj się nad nami grzesznemi, opiekuj się mym bratem i zaświeć promieniem łaski swojej w duszy biednej Kataliny!

Bogobojny młodzieniec złożył ręce do pacierza, wszyscy umilkli i modlili się w duchu, nawet Katalina zwróciła swe duże, modre, ale przygasłe oczy ku Niebu i białe, chude swe ręce złożyła jak do pacierza. Promień łaski zaświecił w jej duszy.

* * *

Wtém zadrżała Sennora Palacios i rzekła:

— Jakiś mnie dolatuje szmer, niby pochód tłumiony kilkunastu osób, nawet ich głosy mnie dochodzą. Wielki Boże! co ja słyszę! to głos Jaga!

Teraz wyraźnie usłyszano następujące słowa z ulicy:

— Matko! bracie! jestem w rękach Cabanera, obiecałem ich wpuścić do domu naszego, ale wolę ginąć jak dotrzymać obietnicy. Mięjcje się na baczno...

Nie dokończył, tylko jęk wydał bolesny: wi-
dać pchnięty puginalem.

Matka pojmuje co jęk znaczy: wybiega na
ganek,—kilka strzałów z ulicy zagrzmiało, Sen-
nora Palacios pada krwią zbroczona.

* * *

Bóg nie chciał przepuścić takiej zbrodni bez-
karnie i zrobił cud.

Donna Katalina od czterech miesięcy niepo-
ruszona, zrywa się z krzesła, chwytą za broń
zawieszoną nad łóżkiem chorego brata i z ganku
razi dobrze wymierzonymi strzałami najezdni-
ków dobijających się do drzwi ogromną kłodą,
do której przyprzęgło się z pół tuzina bandytów
Cabannera;—ukłękła na ganku, broń nabitą chwy-
ta jedną za drugą, strzela, wystrzeloną oddaje
bratu, który ją, nie mogąc wstać z łóżka, nabija.
I do niej strzelają, lecz kule, którym Bóg nie po-
zwoli trafić, objijają się o żelazną balustradę
ganku; ale padają kule, pieńki i siekańce na li-
czną, już przeredzającą się od razów kobiety
zgrają.

Brat nabija, siostra strzela, alarm roznosi się
w całym mieście; bębny warczą, wypada gwar-

dyja narodowa pojedynczo, i na wszystkich punktach miasta rozpoczyna bój krwawy z najezdnikami, którzy w liczbie czterech tysięcy wkroczyli od strony klasztorów, opartych o wały, do miasta i zamierzili wyciąć tyle, ile się tylko da z jego mieszkańców, zwłaszcza wszystkich, z usposobienia liberalnego znanych. Cudem odzyskane siły nie słabną w dziewicy, nawet po ranie, którą otrzymała w ramię i z której krew zbracza jej konającą matkę.

Już trupami bandytów zasłane wejście do mieszkania Kataliny, ale dowódzca bandytów jeszcze żyje i koniecznie chce zdobyć co jeszcze pozostało z nienawistnej mu rodziny: chce się zemścić, jak można najkrwawiej na potomkach wroga, który hańbiącą śmierć zadał jego ojcu.

— Bracie! bracie! — rzece Katalina do Henryka — działo zataczają przed dom i z niego strzelać będą do drzwi jego. Zginęliśmy, biedny bracie. Czy nie lepiej będzie użyć tych dwóch pozostałych nam nabojuów na nasze zglądzenie? Wystaw sobie, co ciebie czeka w ręku tych łotrów, a mianowicie co mnie czeka... Och! Henryku, raczej strzelmy do siebie!

— Tak, dwa naboje tylko,... a dać się wziąć żywcem nie sposób. Ale moje siły wystarczą na zadanie ci śmierci pugiuałem, siostró moja! gdyby mieli wkroczyć do domu. Tymczasem patrz, Katalino, czy nie wynajdziesz herszta tój zgrai: wprawdzie Cabannero nie odznacza się ani wzrostem, ani fizyjonomiją, ani ubiorem od innych— ale może go po tém poznasz, że nadzwyczaj powolny, nieruchawy i cicho rozkazujący? Czemuz nie strzelają?!

— Ładunków armatnich widać nie mają, bo proch wysypują z ładunków od ręcznej broni, a kamienia z bruku dobierają zamiast kul. Ach! to nasza armata z odwachu pod klasztorem Reformatów: widać że jaszczyk z amuniciją zdołał uciec... Ha! już znaleźli kamień stosownej wielkości!—już nabijają!

— Słuchaj, Katalino! otóż dobra myśl— Cabannero służył przedtém w artyleryi, i zapewnie sam mierzyć będzie z działa, bo nikt ze zgrai jego na tém się nie zna. Strzelaj do głowy, która się pochyli nad działem, a mierz dobrze, na miłość Pana Boga, i długo wytrzymuj, bo od tego strzału zależy nasze życie i honor.

Istotnie, jakaś goła, czarna głowa pochyliła się nad tyłem działa.— Mierzy Katalina do téj głowy, za młodu wprawiana do użycia broni palnej przez ojca i braci, a nawet przez matkę bohaterkę, która podczas oblężenia Saragossy w 1809 roku strugi krwi najeźdźników przelała.

Mierzy, a jój serce przed chwilą lodowate bije przyspieszonym tętnem.

Strzela! czarna głowa upada na ziemię, a cały hufiec bandytów wydaje jęk żalony.

Ta głowa kulą przeszzyta, która już nie będzie ani czuła, ani myślała, należała do Filipa Cabanero, herszta generalnego gerylasów Don Karlosa.

W tém błysnął nad zapalem armaty rozżarzony łąt, działo wypaliło, kamień uderza w żelazne drzwi siedziby Palaciosów i wysadza je.

Już mściwa tłuszcza przypuszcza szturm do domu i Katalina podaje bratu puginał, gdy się zjawia odsiecz: cały pluton z kawaleryi gwardyi narodowej, właśnie przybyły z Gandery, wpada na karki karlistów i siecze ich w drobne kawaly.

Nieprzyjaciel pierzcha na wszystkich pun-

ktach, zostawiając trzysta trupów, dwieście rannych i ośmset niewolnika.

Katalina Palacios uznana bohaterką tego dnia pamiętnego, ale jej matka, jej brat młodszy przypłacili jego chwałę swém życiem.

* * *

Ona wsławiwszy się bohaterstwem, stawszy się modnym przedmiotem ogólnego ubóstwienia, mogła była zostać frejliną, jak jej proponowała królowa; mogła była zostać żoną księcia i granda Hiszpanii piérwszój klasy, jak jej ofiarował zachwycony jej wdziękami książę Soto-Major.

Lecz ona ciągle kochała święty obraz swego młodego, zmarłego narzeczonego, - ona chciała usługami cierpiącym oddawanemi zmyć z swych białych rąk krew nieprzyjaciół niemi przelaną, i wstąpiła do pobożnego bractwa siostr miłosiernych, ślubując pozostać ubogą, czystą i poświęcić się na przynoszenie ulgi chorym i cierpiącym.

I nigdy już nie wróciła do tego stanu odrętwienia, w którym ją widzieliśmy pogrążoną; już nie osłupiała jej dusza, raz wzruszona straszliwym obrazem matki ranionój, w własnej krwi tonącój.

Brat jój Henryk, wyleczywszy się z ran i niezdolny do służby wojskowej, został mianowany intendentem szpitala wojskowego, — otóż jak skończył ród Palaciosów. Lecz Henryk się ożenił i ma dzieci: może lepsza zaświeci przyszłość dla dzieci odradzających się w pracy ludzkości miléj i pożytecznéj.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



NIKTÓRE DZ

S. C



BIBLIOTEKA
AKADEMII MEDYCZNEJ
W LUBLINIE

5413

- Cantu Cezar.** *Historija powszechna, przetożona*,
przez *L. Rogalskiego*, 10 tomów 1853—1856 27
w Cesarstwie i za granicą 30
Całe dzieło składać się będzie z 11 tomów.
Ryciny do tego dzieła na stali ryte w liczbie 44. 3
- Czyrniański E.** Professor C. K. Uniwersyt. Jagie-
łońskiego. *Wykład Chemii nieorganicznej*, zastoso-
wanej do rolnictwa przemysłu i medycyny z 132
drzeworytami w tekście zamieszczonemi, 1857. 3
- O osuszaniu gruntów (drainage)*, tłómaczenie z najnow-
szych dzieł francuzkich, z 38 drzeworytami w teks-
cie zamieszczonemi, 1856 — 50
- Dzieje Polski*, które stryj synowcom swoim opowiedział,
przez *J. L.* powiększone dodatkami, oraz ryssem
historji literatury polskiej, przez *L. R.* z 12
mapkami i tablicami genealogicznemi, wydanie
drugie. 1856 2 25
- Eberhard F.** *O chowie i ulepszeniu rass koni* z poglą-
dem na chów koni w Anglii 1856 1 50
- Kartologia*, nowa zabawa towarzyska z 51 figurami z teks-
tem objaśniającym. 1852 — 60
- Głiszczyński Michał.** *Znaczenie i wewnętrzne życie Za-
poroża* podług *Skalkowskiego*. Hetmani Małoros-
syjscy i kozacy do czasów Unii, 1852 2
- Gregorowicz J. K.** *Obrazki wiejskie*, 4 tomy 1852. 4
— *Wiejskie zarysy*, 2 tomy 1854 2
- Kovanagh J.** *Magdalen*, czyli poświęcenie mło-
dej wicniaczki, powieść ludowa z prawdziwego
zdarzenia, przekład wolny przez *Eleanorę Ziemię-
cką*. 1855 1 50